Młyn jak z bajki

Młyn wodny z Siołkowic Starych.
Włodzimierz Wójcik

Cóż może być bardziej dla mnie przyjemne niż wspominanie w te wiosenne roztopy, rozległych srebrnych plam falującego na lekkim wietrze, dojrzewającego żyta. Takie obszary malarskie istnieją w mojej pamięci, która jest swoistą galerią znakomitych pejzaży. Pejzaży nie namalowanych, ale przecież utrwalonych. Póki żyję, żyją też – te z dawnych lat – żytnie kłosy, złote kłosy pszenicy, kłosy jęczmienia z kruchymi długimi wąsami oraz krótkie łodygi owsa, z drgającymi nerwowo ziarenkami. Pod koniec lata ten człowieczy urobek, po skoszeniu, wieziony był, po młócce, do młyna. Niektórzy ludzie lubią przesypywać z garści do garści złote monety, mnie wystarczyło zanurzać dłonie w ziarnach zboża wypełniającego kosmate szorstkie szare worki. Ciepło płynące z tych szlachetnych ziaren zapowiadało łagodną ciepłotę bochnów wyciąganych z chlebowego pieca opalanego klocami najszlachetniejszego

drewna. Oczywiście, zanim ziarno zamieni się w nasz chleb powszedni, musi przejść bolesny rytuał spotkania z młynem, z szorstkimi dwoma kamieniami, obracającymi się w przeciwnych kierunkach, trącymi zboże, sypiącymi tak oczekiwaną mąkę…

Pojęcie młyna jest stare jak świat, a właściwie jak Biblia. Czytamy w piśmie Świętym: „Młyny boże mielą wolno, skrupulatnie i na miałko, a prawda jest jedna i nierozdwajalna”. Maksyma ta zawiera dwie mądrości. Jedna powiada, że każda praca przyniesie owoce, jeśli jest wykonywana rzetelnie, bez szalonego pośpiechu, a w rezultacie dokładnie. Mądrość druga niesie pouczenie, że wcześniej czy później nasze czyny będą sprawiedliwie ocenione przez siły nadrzędne, na przykład boskie. Potrzebna jest tylko cierpliwość. Cierpliwość.

Tego rodzaju spostrzeżenia czyniłem od najwcześniejszych lat dzieciństwa, obserwując monotonny rytm pracy koła rzecznego młyna pana Kłapci „na Brzozowicy”. Młyn stał przed skrzyżowaniem ulicy Siemońskiej (idącej z zachodu, z Łagiszy do Dąbrowy Górniczej), z Czarną Przemszą. Dwa brzegi rzeki łączył drewniany most z mocnymi poręczami. Od strony północnej masywnego budynku z bali drewnianych była platforma służąca przyjmowaniu worków z ziarnem. Od zachodniej strony młynarze wydawali mąkę. Od południa cierpliwie obracało się olbrzymie koło młyńskie poruszane wodą Czarnej Przemszy, do której wcześniej wpadała moja „domowa rzeka”, Strumyk Psarski, często nazywany po prostu Psarką. Właśnie to koło uruchamiało napęd mechanizmów młyna.

Spadająca z wysokości, spiętrzona stawidłami woda rozpryskiwała się formując w powietrzu, gdy było słońce – ku mojej i moich rówieśników uciesze – wielobarwne tęcze. Z owego bajecznego „podemłynia” często biegaliśmy rozległymi łąkami pełnymi kwiatków polnych. Wielekroć, po przejściu rzecznej kładki, dostawaliśmy się na wzgórze, gdzie znajduje się będziński cmentarz, gdzie dzisiaj dzieciaki chodzą do swego teatru noszącego imię Dormana. Pamiętałem słowa ojca, że na tym cmentarzu leży pochowana jego matka, a moja babcia Jadwiga. Zmarła prze moim urodzeniem w domu rodziny Przyłuckich, zaledwie sto metrów od „naszego” młyna. Ten dom przez lata był miejscem spotkań rodzinnych. Słynna ulica Polna 2. Tu żył brat mojego ojca Franek, ożeniony z Sabiną z Przyłuckich. Z ich córkami, Wiesią i Zosią oraz dzieciakami z okolicy bawiliśmy się tuż przed 1939 rokiem, w czasie okupacji i po wojnie. Bezustannie ciągnęło nas do czarodziejskiego młyna.

Stróż całej posiadłości państwa Kłapciów, postukując sękatą laską, obchodził zabudowania i podśpiewywał, ni to sobie, ni to nam, dowcipną piosenkę:

Gdzie żeś ty bywał, czarny baranie?

We młynie, we młynie, mościwy panie.

Cóżeś tam robił, czarny baranie?

Meł mąkę, meł mąkę, mościwy panie.

Cóżeś tam jadał, czarny baranie?

Kluseczki z miseczki, mościwy panie.

Cóżeś tam pijał, czarny baranie?

Miodeczek i mleczko, mościwy panie.

Gdzieżeś uciekał, czarny baranie?

Hopsasa do lasa, mościwy panie.

Kiedy jako dzieciaki schodziliśmy z ulicy Polnej, czyli z dość wysokiej skarpy nad wyrównaną już poniżej młyna taflę Czarnej Przemszy, która – wbrew nazwie – miała błękitną czystą wodę, zabawom nie było końca. Często, biorąc się za ręce, śpiewaliśmy:

> *Koło młyńskie za cztery ryńskie; koło nam się połamało, żyto nam się wysypało, a my wszyscy bęc na ziemię. Komu, komu, bo idę do domu?!*

Jeden z młynarzy, pan Paweł dogadywał rolnikom przywożącym do zmielenia żyto czy owies: „Masz mało ziarna, posyp je swej kurze, masz dużo ziarna, zanieś je do młyna”. Dla przydomowego drobiu gospodarze zwykle mieli jakieś resztki, czyli po prostu ziarno z plewami. Było oczywiste, że kura czy kurczak znajdzie to, co mu jest potrzebne. Czyste, owiane i wysuszone zboże wieźli – jak mówiono – „na Brzozowicę”.

Na północ od młyna stał dom mieszkalny w olbrzymim sadzie drzew owocowych. Znajdowała się tam także słynna piekarnia Kłapci. W czasie okupacji cały ten majątek przeszedł pod nadzór władz niemieckich. Pan Kłapcia był zaledwie

pracownikiem. Nam się to opłaciło. Oto bowiem jego syn Staszek podkradał z kantoru kartki na chleb i z łobuzerskim uśmiechem szczodrze nas nimi obdzielał. Wypieki z tej piekarni, wielekroć nazywane przez nas „kłapciokami”, były po prostu niebiańskie. Zwłaszcza te z podsypką.

Tę bajeczną krainę mojego dzieciństwa zmieciono z powierzchni ziemi wówczas, gdy zaczęto budować odkrywkową kopalnię węgla kamiennego. Niestety węgla nie było wiele. Wówczas nastąpił proces odwrotny. Ogromny dół zaczęto zasypywać odpadami przesyłanymi z Elektrowni „Łagisza”. Dzisiaj z wielu stron przechodzę wokół tej niemal martwej przestrzeni, która dawniej była oazą bujnego i pięknego życia. Od łagiskiego skrzyżowania ulicy Odkrywkowej – dawnej Siemońskiej – z ulicą Pokoju wiodąca ku Siewierzowi i Warszawie – udaję się w kierunku dawnego młyna pana Kłapci. Po niecałym kilometrze zastaję betonową zaporę. Tam za nią jest gruzowisko i czające się niebezpieczeństwo. Okazuje się, że teren jest jeszcze nie uporządkowany. Nie w pełni ożył, a już ktoś ponownie chce go zamordować, planując budowę fabryki asfaltu. Okoliczni mieszkańcy mają tego dość. Ostro protestują. Pomagają im w tym samosiejki brzóz, które coraz śmielej wdzierają się w szarzyznę poranionej ziemi. Minęły dziesięciolecia, a to wszystko, co było źródłem moich i naszych dziecięcych doznań spod koła młyńskiego młyna pana Kłapci, żyje w moim sercu.

Zaufanie

Florian Śmieja

Dom noclegowy jednej z polskich organizacji w Londynie nazywał się ładnie: hospicjum. Był położony przy szykownym skwerze niedaleko stacyjki kolejki podziemnej linii Piccadilly. Mieścił się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Budynek był raczej szczupły w monumentalnym stylu całego sąsiedztwa.

Hospicjum dawało nie tylko znakomity, centralny adres pocztowy, ale oferowało ponadto studentom polskim niedrogie pokoje. Wprawdzie pomieszczenia były dwu i trzyosobowe, ale przy odrobinie cierpliwości i szczęściu można było wynająć jeden z trzech jednoosobowych pokoików.

Jeden z nich, pokój skromny, bez żadnych luksusów, umeblowany raczej po spartańsku zajmował Adam. Dostał go po Zupce, jego wieloletnim mieszkańcu. Zupka był statecznym, sympatycznym blondynem z wypiekami na uśmiechniętej stale twarzy. Studia zaczął w Bolonii po demobilizacji z II Korpusu. Tam też zakochał się we włoskiej studentce, z którą utrzymywał żywą korespondencję.

Ukończywszy studia chemii w Londynie, zaczął rozglądać się za pracą i pilnie wertował oferty ogłaszane w angielskiej prasie. Posyłał swoje zainteresowanie piśmiennie do firm poszukujących chemików i cierpliwie czekał na wezwanie na kwalifikacyjną rozmowę.

Kiedy wreszcie przyszło z Midlandów zaproszenie z wielkiej cementowni, Zupka błyskawicznie zadziałał. Najpierw pożyczył pieniędzy, by kupić sobie elegancki garnitur. Chciał zrobić jak najlepsze wrażenie przy spotkaniu z przyszłym chlebodawcą. Pojechał pociągiem pierwszą klasą na znak, że siebie ceni.

W czasie rozmowy szerzej opowiedział o swoim życiu, także o zsyłce do Związku Sowieckiego. Wspomniał o zapamiętanej z tamtych czasów cementowni. Okazało się, że stary Anglik, który z nim rozmawiał, budował ją przed wojną dla firmy Portland.

W końcu padło pytanie o płacę. Zupka śmiało zażądał stosunkowo wysokiego wynagrodzenia. Dyrektor ze zdziwieniem zauważył, że petent chciał więcej od innych kandydatów nie mając żadnego doświadczenia, wszak starał się o pierwszą pracę. Elegancki Zupka odpowiedział spokojnie, że wprawdzie szukał pierwszej posady, ale myślał o stałej pozycji, o rzetelnej pracy, a nie o tymczasowym zatrudnieniu. Dostał stanowisko, o które się ubiegał, sprowadził wnet narzeczoną do Anglii, poślubił ją i oboje wyjechali na prowincję.

Jego pokój wziął Adam. Nie wiem, czy gdzieś studiował, utrzymywał się z dorywczych prac. To faszerował w fabryce pierogi, to zatrudniał się przy wyrobie lodów. Ponieważ od dłuższego już czasu zalegał z płaceniem komornego, zarządca domu inżynier Krótki, o rzęsach jak tropikalna ryba, po wielu ostrzeżeniach, wręczył mu wymówienie.

Za eksmitowanym nikt się nie ujął. Jedni go wcale nie znali, drudzy, znając, nie widzieli sensu w interweniowaniu. Nie pamiętam, czy wiedział o sprawie ks. Wiśniewski, kapelan akademicki, który mieszkał na parterze. Był osobą bystrą i lubianą, spotykała się u niego tzw. złota młodzież, co nie chroniło go bynajmniej od spontanicznych sztubackich wybryków psotnych mieszkańców hospicjum, którzy np. włączali odkurzacz do kontaktu obok księżych drzwi na parterze, a w nocy czy nad ranem przekręcali na piętrze kontakt, który uruchamiał głośny sprzęt na dole.

Adama bliżej nie znałem, ale jego sprawa mnie dotknęła, sumienie obudził jego los. Współczułem mu. Nie rozumiałem potrzeby egzekwowania rygorystycznych przepisów, ścisłego szanowania reguł, wagi ostrzeżenia. Wydało mi się godniejsze błądzenie po stronie łaskawości i tolerancji. Wierzyłem na słowo i stanąłem przy boku ofiary nie interesując się bliżej przesłankami, którymi kierowali się zarządzający domem. Sam fakt, że instytucja nie była ściśle komercyjna, dodawał mi otuchy, aby zaapelować do sumień i zażądać cofnięcia młodemu człowiekowi nakazu opuszczenia domu. Wydawało mi się, że wezwanie do zaufania wbrew przesłankom i doświadczeniu, do ryzykowania raz jeszcze, było obowiązkiem przełożonych, że strata finansowa nie była współmierna z surowym potraktowaniem. Musiałem wtedy wyglądać jak zapalony misjonarz lub fanatyczny rzecznik spraw beznadziejnych.

Adam przez cały czas, kiedy ważyły się jego losy, zachowywał się nieporadnie, a przy tym trochę się jąkał, każąc mi wierzyć, że wstawiam się za człowiekiem, który sobie sam nie potrafi pomóc, że brakuje mu swobody, by mógł jasno wyłuszczyć źródła niepowodzenia. Moja elokwencja, czy powstały z powodu mojego wystąpienia ambaras, sprawiły, że nakaz opuszczenia mieszkania, odwołano. Dzięki mnie dano dłużnikowi jeszcze jedną szansę.

Zaraz po zapadnięciu przychylnej decyzji Adam przyszedł do mojego pokoju i długo i wylewnie dziękował mi za ingerencję i pomoc w jego sprawie. Uścisnąłem mu rękę. Pewnie czułem krzepiące zadowolenie ze swojego zachowania, z przeciwstawienia się opinii kierownictwa, z posłużenia się moralnym argumentem, ideologicznym szantażem, kiedy nic nie skutkowało.

Adam, ośmielony trochę, zaczął rozglądać się po moim pokoju. Spojrzał na stół, na półki z książkami. Zobaczył na wieszaku mój podniszczony letni płaszcz wymagający pilnego czyszczenia. Znam pralnię – odezwał się – Przyniosę wyczyszczony.

Nie oponowałem, aczkolwiek nie spodziewałem się żadnej wdzięczności oprócz słów podziękowania. Wyszedł z moim płaszczem, przepadł i więcej się w hospicjum nie pokazał. Płaszcza też już nigdy nie zobaczyłem, choć strata materialna była minimalna i nie na tyle dotkliwa, by zachwiać skutecznie moim zaufaniem do drugiego człowieka.

Nieodgadnięte

Florian Śmieja

NIEODGADNIĘTE

Nieodgadnięte stale nas pociąga.

Jego sekrety łudzą nas odkryciem

szczęśliwszą chwilą, w sprzyjającym czasie

w podatnym zaułku życia, egzystencji

niespodziewanej, w wymiarze istnienia

magicznego, upiornego bytowania.

Fantom to czy zatracenie, zagłada

dla śmiałków prących do plus ultra,

choćby złudzenia, że non omnis moriar?

OBUDZENIE

Kiedy się rano obudzisz

i w rodzącej się poświacie

zamajaczą pierwsze kształty

sprawdź swoją tożsamość,

Upewnij się, że jesteś

suwerennym bytem

jednostką integralną

autentycznym podmiotem

o świadomej egzystencji.

Dopiero potwierdzenie tych

witalnych kwerend

da ci glejt do fedrowania.

SWOJSKOŚĆ

Mój kanadyjski dom w ludnym Ontario

nabył z latami znamiona swojskości.

Z frontu przyjaźnie wita rosła lipa

a w tyle cieszy jarzębina z brzozą.

W okresie godów zabrzmi kolędami

i imieniny obchodzi corocznie

nie poważane zupełnie w tych stronach.

Czerwony barszcz gości na jego stole

pojawia się opłatek i kraszanka.

Tylko brakuje na gnieździe bociana

a św. Florian nie strzeże od ognia.

TERAZ

Ginie nam nasze Teraz bezpowrotnie

w technologicznym rozgardiaszu.

Wprawdzie klną się zapaleni kamerzyści

że zachowali ciągi fotografii

szeregowanych w albumach

których nikt nie zechce oglądać.

Wspominaliśmy wczoraj,

mamy plan na jutro.

Tylko teraz nam przepadło

w gąszczu cyfryzacyjnych połączeń

zapodział się bliski sąsiad

zmarginesował żywy człowiek.

Nie sposób znaleźć dla niego

przestrzeni na rozmowę czy refleksję.

Uwikłani w cybernetycznej sieci

pilnie potrzebujemy lekarstwa

na zanik rzeczywistości.

PROCHY

Chciałbym, by moje prochy

powróciły do swoich,

spoczęły na gminnym cmentarzu

wśród braci i rodziców.

Błąkałem się po świecie,

czas już się ustatkować

i ziemi rodzinnej powierzyć ostatki.

Nie będę sechł na amen

w wietrznym pawilonie,

ani stanowił piędzi golfowiska,

bo mnie nie znajdą w Zaduszki,

ci co o zmarłych jeszcze pamiętają,

by przyozdobić barwnymi lampkami.

Wschód oglądany przez pejzaż andaluzyjski. O „Kasydach i gazelach” Józefa Łobodowskiego.

Florian Śmieja

Józef Łobodowski, fot. Muzeum Emigracji w Toruniu.

Na wieczorze autorskim Józefa Łobodowskiego w Chicago 20 listopada 1977 roku Tymon Terlecki we wstępie do różnorodnej twórczości prelegenta mówił obszerniej o jego przekładach z literatury hiszpańskiej. Powiedział on m.in.

W historii polsko-hiszpańskich związków kulturalnych Łobodowski ma ważne miejsce. Nikt przed nim tak szeroko nie otworzył polszczyźnie Hiszpanii poetyckiej, nie sięgnął tak głęboko do skarbca jej liryki.

Wspominając różnych tłumaczonych przez Łobodowskiego poetów, szczególnie

podkreślił jego zauroczenie Federico García Lorcą. Powiada, że to Lorca skierował go w:

> *okolicę, w którą przed nim nie „zaawanturował" się żaden Polak – w stronę poezji hiszpańsko-arabskiej albo ściślej ją umiejscawiając w poezji andaluzyjsko-arabskiej.*

Terlecki ciągnie dalej:

> *Zajął się nią jako tłumacz, ale również i przede wszystkim jako twórca oryginalnego, indywidualnego wariantu poezji hiszpańsko-arabskiej, właściwie należałoby powiedzieć poezji hiszpańsko-arabsko-polskiej. W ten sposób powstał zbiór „Kasydy i gazele" (1961), jeden z najbardziej znaczących i trwałych zbiorów stworzonych na emigracji!*

Porównując kasydę z grubsza do ody, a gazelę do erotyku, Terlecki tłumaczył:

> *Blisko trzydzieści kasyd i trochę ponad trzydzieści gazel Łobodowskiego – to nie przekłady czy imitacje, ale twórcze, odkrywcze, rozszerzające zakres poetyckiego wyrazu nawiązanie i zastosowanie, przyjęcie na własność cudzych, cennych zdobyczy.*
>
> *Sprawa „Kasyd i gazeli" otwiera szerszy widok na ogólny charakter twórczości Łobodowskiego i na jego miejsce w poezji tworzonej poza krajem. („O Łobodowskim słowo przygodne", Wiadomości, nr 1658. 8.1.1978)*

To, co Terlecki nazwał twórczym i odkrywczym, rozgrzeszającym zastosowaniem, nazwałem w liście do „Wiadomości" „tłumaczeniem i przeróbką". Autor bardzo się oburzył i w odpowiedzi wyjaśniał, że:

> *niejedna moja kasyda czy gazela powstała jako rozwinięcie jakiegoś motywu lub metafory arabskiej […] Można więc mówić o inspiracji arabskiej, ostatecznie przy dobrej woli nawet o naśladownictwie, ale w żadnym wypadku o przerabianiu i tłumaczeniu.*

Na jego wyzwanie, bym przytoczył tytuł „choćby jednej kasydy lub gazeli ‘przetłumaczonej’ z arabskiego ” znalazłem wszystkie wersy bez jednego wzięte żywcem z utworów średniowiecznych poetów arabskich zamieszkałych w Andaluzji, a zawartych w antologii hiszpańskiej Emila García Gómeza, bez żadnej o nich wzmianki w proweniencji.

Tej wymianie listów, sadzę, zawdzięczamy notatkę przy kolejnych utworach tego typu drukowanych w „Wiadomościach”, głoszącą, że poeta obraca się w kręgu inspiracji arabsko-andaluzyjskich, a także obszerne posłowie do tomu „Kasyd i gazeli”. Łobodowski usprawiedliwia w nim swoją praktykę, a przy okazji, nie wymieniając mnie z nazwiska, polemizuje ze mną. Już w pierwszym akapicie wzmiankuje, że:

> *…uważa za konieczne opatrzenie ich dłuższym komentarzem, aby wyjść na spotkanie możliwym nieporozumieniom, czy błędnym interpretacjom, tym bardziej, że powstały one już po ukazaniu się poszczególnych wierszy tego zbioru w prasie literackiej.*

Po długim wykładzie na temat pochodzenia liryki arabskiej Łobodowski klaruje, że skoro w tradycji tej poezji zapożyczenia były na porządku dziennym, on również pozwolił sobie na taką swobodę. I dodaje:

> *To ku uwadze skrybom, podglądającym bliźniego przez szkło powiększające.*

O swojej praktyce doda:

> *Niekiedy poemacik stanowi rozwinięcie motywu, a nawet jednego zdania czy metafory, napotkanej w oryginalnym tekście arabskim.*

Sugeruję, by czytający te słowa sam przekonał się o typie operacji, jaką Łobodowski przeprowadza i porównał jako przykłady monstrualnych, moich zdaniem, amplifikacji widocznych w utworach „Gazela żałobna” (w mojej wersji „Żałoba w al-Andalus”).

Gazela żałobna

Pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Jeszcze nie noc i księżyc włosów nie osrebrzył,

jeszcze dzień i słońce mnie ozłaca,

jeszcze lato

i szrony na ziemię nie spadły.

Więc pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Biały jest kolor żałoby.

Białe są prześcieradła, w które owijają umarłych.

Biały jest marmur,

pod którym znużeni spoczniemy.

Biały jest kolor żałoby.

Gdy ci umrze kochanek,

wyjdziesz cała w bieli,

ciemną głowę okręcisz w całun biały,

białym kwieciem

cmentarną ścieżkę wymościsz…

To dlatego mi skronie posiwiały,

żem w żałobie

po umarłej młodości.

(J. Łobodowski)

Żałoba w al-Andalus

Jeżeli biel jest kolorem żałobnych szat

w al-Andalus, rzecz to słuszna.

Nie widzisz, że przywdziałem na siebie białe włosy,

bom w żałobie po młodości?

(F. Śmieja)

oraz „Kasyda satyryczna” (moja wersja „Satyra”):

Kasyda satyryczna

Oto jest uczta godna aniołów i hurys.

Najpierw wino zaperli się w czarach,

potem flet poda czysty ton,

jak skowronek wywinie się do góry.

Tamburyny go w pieśń zamienią.

A Zaira, Abigal lub Tamara

będzie giąć się ku czułym spojrzeniom.

Do najdalszych Andaluzji granic

tylko wino, muzyka i taniec.

A ty, skąpcze, turbanu nie godny,

jak przyjmujesz gości na ucztach?

Dawno nie znasz czem złote wino,

żmija gnieździ się na dnie każdej czary.

Much brzęczenie pieśnią jedyną

i na fletach grają ci komary.

Zaś jedyne tancerki – głodne pchły.

A ty siedzisz, śmierci wyglądając,

wpośród pcheł i komarów

jak pająk.

(J. Łobodowski)

Satyra

Masz dom, w którym odbywają się wieczornice,

co nas tak bardzo bawią.

Ale powiedzmy prościej:

śpiewaczki to muchy,

ci co wokół grają na flecie – komary,

a tancerki – pchły.

(F. Śmieja)

Moje źródła pochodzą z antologii „Poemas arábigoandaluces”, Emilia García Gómeza i tę hiszpańską wersję miał w ręku również Łobodowski, bo przecież arabskiego nie znał, mimo że się na ten język parę razy powołuje.

Przytoczę jeszcze inny tekst, a mianowicie piękny utwór Ibn Hazma z przełomu dziesiątego i jedenastego wieku:

Chciałbym serce rozpłatać

Chciałbym serce rozpłatać

włożyć ciebie do wnętrza

a potem znowu pierś zamknąć.

Abyś mieszkała tam, a nie gdzie indziej

aż po dzień zmartwychwstania

i sądu ostatecznego.

Tak żyłabyś w nim póki stałoby mi życia,

a z moją śmiercią umarłabyś w zakamarku serca

jak w ciemnej mogile.

(F. Śmieja)

A oto utwór Łobodowskiego „Gazela białym wierszem” bez śladu źródła:

Chciałbym otworzyć kindżałem moje serce

i wprowadzić cię do niego

i zaczekać aż się rana zabliźni,

abyś w niej została jak w haremie.

Jak ampułka z wonnym olejkiem,

jak monstrancja,

w której niewierni chowają swego Boga,

jak szkatułka ze złotem

zagrzebana w ziemię.

Ale nie mogę…

Ale nie mogę, bo moje serce jest zbyt małe,

moje serce,

które zmieściłoby się

w twej zaciśniętej piąstce,

piąstce, której paluszków nie chcę całować,

by nie zajęły się tym ogniem,

którym płonę.

Łobodowski kończy swoje posłowie taką uwagą „Więc oto *Kasydy i gazele* – Wschód, oglądany poprzez pejzaż andaluzyjski”.

Pozostawiając innym ocenę utworów Łobodowskiego, bo trudno wziąć za dobrą monetę nonszalanckie pochwały Tymona Terleckiego, takie tylko zgłaszam zapytanie. Czyż poeta polski żyjący w dwudziestym wieku, bez znajomości języka arabskiego i nie mieszkający w kraju, gdzie on panuje i zachowuje jego żywą tradycję artystyczną, może mówić, że obraca się w klimacie średniowiecznej poetyki arabskiej i ma prawo, jak twierdzi Terlecki, przejmować „na własność cudze cenne zdobycze”? Skoro zaś arabskiego nie zna i musi posługiwać się przy pisaniu „własnych” kasyd i gazel antologią hiszpańską, czy elegancko jest nawet tej antologii nie wymienić?

Transmisja poezji, jak widać, potrafi przybrać najosobliwsze formy. Tylko czy godzi się takim zabiegom zaraz przyklasnąć i nazywać je „oryginalnymi wariantami” oraz zaliczyć do „najbardziej znaczących i trwałych zbiorów stworzonych na emigracji”?

Andaluzja, fot. S. Adamczak / okfoto.pl

Bibliografia:

García Gómez, Emilio. Poemas arábigo-andaluces. Buenos Aires 1940.

Łobodowski Józef, Kasydy i gazele, Londyn 1961.

Śmieja Florian, Poezje arabsko-andaluzyjskie, Toronto 1988.

Śmieja Florian, Poezje arabsko-andaluzyjskie, Katowice, 1993.

La Poni – arystokratka z walecznym piórem. Część 2.

Elena Poniatowska

Władysław Pomarański

Rodzina Eleny była bardzo zaniepokojona zwrotem w stronę ludzi sponiewieranych przez życie i zmianę jej poglądów na skrajnie lewicowe. Dopiero wiele lat później jej matka pogodziła się ze zmianą zainteresowań córki. Wyraziło się to w jej wspomnieniach „No me olvides" (Nie zapomnij mnie):

> *córka uznała, że są to ludzie o wiele inteligentniejsi i bardziej twórczy, aniżeli osoby z dobrego towarzystwa – pisała.*

Zradykalizowanie się Eleny i bliskość ideowa z obozem komunizującym, walczącym z juntą ludzi skorumpowanych, rządzących krajem terrorem, często w zmowie z członkami potężnej mafii, w porównaniu z którą mafia kolumbijska to przedszkolaki, stała się w jej przekonaniu jedyną drogą, która może obalić tyranię w tym kraju. Zdawała sobie sprawę, że ci nowi przywódcy przekształcą się po jakimś czasie w „czerwonych arystokratów", jak to w przeszłości niejednokrotnie bywało, ale zanim to nastąpi biedni ludzie mogą mieć trochę lepiej. To inny komunizm niż ten co my starsi Polacy dobrze znamy. Elena Poniatowska nie kryje się ze swymi przekonaniami lewicowymi. Nawet jej matka nazywała ją ironicznie „czerwoną księżniczką". W pewnym okresie swego życia brała udział w organizowaniu kampanii wyborczych dla kandydatów lewicowych na prezydenta lub do władz federalnych i lokalnych w Meksyku.

Jednak sama nie uważała się za komunistkę. Na pewno była osobą o skrajnie lewicowym zaangażowaniu politycznym, bo według niej to była jedyna siła, której udawało się od czasu do czasu hamować szaleństwa rządzących, korupcję i pogardę do ogromnej większości obywateli kraju. Zawiodła się na hierarchii kościelnej: miała pretensje do papieża Jana Pawła II, że nie potępił nadużyć dokonywanych na Indianach w stanie Chiapas, co doprowadziło do ich buntu, wojny domowej i rzezi. Miała także za złe papieżowi, że nie dostrzegł iż „teologia wyzwolenia" na terenach Centralnej i Południowej Ameryki, stworzona i praktykowana przez niektórych duchownych pracujących w fawelach i wśród ludzi najbiedniejszych, zapomnianych przez rządy swych państw, nie pachnie herezją, lecz jest autentyczną ochroną najbiedniejszych przed niesprawiedliwością. Dla Eleny, osoby odważnej, wrażliwej na wszelką niesprawiedliwość, jedyną siłą, która obiecuje poprawę tej sytuacji to lewicowcy.

Meksykańska fawela – czyli domostwa najbiedniejszych.

Meksykańska fawela – czyli domostwa najbiedniejszych.

Sam może stałbym się lewicowcem, gdybym tam mieszkał i doświadczał tego, co tam się dzieje. Byłem w Acapulco, jednym z najbardziej bogatych, znanych i okrzyczanych miast turystycznych Meksyku. Wystarczyło zboczyć na boczną uliczkę z jedynego w mieście eleganckiego bulwaru zabudowanego hotelami dla turystów, czy wziąć lornetkę do ręki i przyjrzeć się otaczającym miasto wzgórzom. To fawele: tu wielodzietne rodziny gnieżdżą się często w jaskiniach bez wody bieżącej, bez elektryczności. To wszystko woła o pomstę do nieba i ta pomsta prędzej czy później może spaść i zmieść elitę. Ale jakimi będą nowi rządzący?

Nie tylko za poglądy lewicowe, ale przede wszystkim za odwagę i głoszenie prawdy, niepopularnej wśród elit, Poniatowska stała się znaną i powszechnie szanowaną w kraju. Dla wielu jest już nie tylko La Poni, ale Ponissima, a dla wielu literatów i pisarzy nie tylko języka hiszpańskiego *grande dame de lettres.* Miała odwagę zamanifestować to nie tylko w swych pismach, ale w czynach. Oto trzy przykłady: Zjawiła się w roku 2007 na wielkiej fecie zorganizowanej dla niej przez populistę, przyjaciela Fidela Castro, w owym czasie prezydenta Wenezueli Hugo Chaveza. W czasie tych uroczystości Chavez nie tylko nazwał ją największą pisarką Ameryki Łacińskiej, ale jak mały chłopiec tańczył, śpiewał, recytował przed nią jej teksty,

paradując w swojej nieodłącznej czerwonej koszuli.

Podobny incydent przeżyła wcześniej w Meksyku. W roku 1994 *subcomendante* Marcos wszczął rebelię Majów w górach Chiapas – południowego stanu Meksyku. To jeden z najbiedniejszych stanów gęsto zaludniony przez Indian tego plemienia. Wiedział, że przyjazd Eleny pomógłby sprawie. Był człowiekiem wykształconym, wymyślił fortel by ją zwabić do pojawienia się wśród partyzantów. Przesłał jej kilkunastostronicowe zaproszenie napisane w stylu barokowym, bardziej przesadzone i rozgadane niż proza Cervantesa, na której się wzorował. Oto urywek tego zaproszenia:

> *Niech będzie Twa piękność pozdrowiona. I niech zbrojne wojska zamilkną w pokornym powitaniu… bym mógł oficjalnie zaprosić Ciebie Pani, byś zechciała zniżyć się do tych rebelianckich i jakże niebezpiecznych stron i byś raczyła postawić na nich łagodny znak swych najdelikatniejszych stóp.*

Oczywiście, uwiódł Elenę tymi słowami. Natychmiast kupiła bilet na najbliżej położone lotnisko od miejsca rozruchów, a wcześniej wstąpiła do sklepu, by gospodarzowi spotkania kupić jako prezent paczkę jego ulubionego tytoniu fajkowego. Z lotniska dowieziono ją terenówką do małego miasteczka Guadelupe. Pisze: „W Guadelupe powitał nas dźwięk tysiąca trąbek”, by wszyscy powstańcy usłyszeli, że jest z nimi. Po oficjalnym przywitaniu, Elena spędziła długie godziny z Marcosem debatując, jak doprowadzić ten zryw do zwycięstwa. Opublikowała swoje wspomnienia z tej wizyty i rozmowę z Marcosem w *La Jornada.*

Elena Poniatowska (z prawej) w Polsce.

Trzecią tego typu przygodą był jej pobyt w Polsce. Rząd Polski Ludowej zafundował jej tryumfalny wjazd i przejazd po kraju. Dla kurażu, poprosiła, by pozwolono podróżować z nią jej matce Paulinie. Nie tylko pozwolono, ale opłacono jej przelot i pobyt w Polsce. Był to rok 1965, gdy powoli naród budził się ze snu, gdy zaczęły się tworzyć organizacje oporu, obrony uciśnionych i uwięzionych obywateli. Odwiedziny takiej osoby z pochodzenia Polki, która była dumna ze swych korzeni, stało się dużym wydarzeniem. Miała przecież w rodzinie kuzyna z jej francuskiej gałęzi rodu, który walczył w oddziałach generała Maczka i zginął od kuli snajpera już po zakończeniu bitwy. Polski wywiad w ambasadzie w Meksyku chyba przeoczył jej wypowiedź, gdy po druku książki o morderstwie studentów na placu Tlatelolco zapytana przez dziennikarza jaka ideologia przyświecała jej przy pisaniu powiedziała:

Żadna. Jestem z pochodzenia Polką. A jaka jest ideologia Polaków? To ludzie

gotowi rzucić się na koniach przeciw czołgom.

Gdy polscy władcy zaczęli powoli obawiać się o swoją przyszłość uznali, że dla celów propagandowych sprowadzenie do Polski arystokratki, w mniemaniu wielu… komunistki, będzie strzałem w dziesiątkę, bo przekona niektórych Polaków, a tym bardziej osoby liczące się spoza Polski, jak otwarta jest na świat polska „demokracja ludowa".

Nieco przedtem Trybuna Ludu i inne czasopisma piały z zachwytu, gdy przez Polskę przejeżdżała Dolores Ibarruri, hiszpańska komunistka, która w wywiadach chwaliła polskie porządki. Wracała z pielgrzymki od swego boga Stalina, ten łaskawie uhonorował ją nadaniem jej obywatelstwa Kraju Rad. Pamiętam te czasy, byłem już dorosłym człowiekiem. Przedstawiono ją jako męczennicę dobrej sprawy w kraju faszystowskim – w rzeczywistości była sekretarzem dużej legalnej komunistycznej partii swego kraju, posłanką na sejm. Wtedy poznałem dwa pierwsze słowa hiszpańskie*: no pasaran* (nie przejdą) – Władysław Broniewski dołączył je do jednego ze swych entuzjastycznych wierszy. Ona je wymyśliła, stało się to wyrażenie okrzykiem komunizujących republikanów walczących z faszystami generała Franco w wojnie domowej tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Chodziło o to, że Franco nie dojdzie przez góry do Madrytu. Doszedł w kwietniu 1939 roku i swe pierwsze orędzie do narodu rozpoczął od słów *hemos pasado* (przeszliśmy).

Helenę i mamę obwieziono po najciekawszych miastach Polski – poza Warszawą zwiedziła Kraków, Gdańsk. W kolejce na rozmowę z nią czekało kilku pisarzy, dziennikarzy, artystów, nawet członek rządu, którego nazwiska nie zapamiętała, określiła go jako „ten gruby polityk", z grzeczności nie dodała, że łysy – chodziło o Cyrankiewicza. Te spotkania rozczarowały rząd i partię. Powiedziała, że nie jest komunistką, a do Polski przyjechała, by kontynuować zbieranie materiałów do książki o swym rodzie Poniatowskich, ale gdy w Polsce dowiedziała się więcej o królu Stanisławie Auguście, zrezygnowała z tego pomysłu, bo… cytuję:

zdałam sobie sprawę, że Katarzyna Wielka go zjadała.

Katarzyna nie tylko go zjadała, ale zjadła i strawiła i choć po służbie w jej „stajni

ogierów” obdarzyła go koroną polską, to później sponiewierała, gdyż chciał dobrze dla swego kraju.

Elena Poniatowska na Międzynarodowych Targach Książki, Miami 2014 r.

Artykuły i książki Eleny Poniatowskiej na temat wydarzeń w Meksyku nie miały

charakteru czysto dziennikarskiego – do opisu faktów dorzucała swoje uwagi, przekonania, przemyślenia, czyta się je nie jak suche sprawozdania, lecz jak nowelki, czy powieść.

Elena powoli wyrasta z felietonistki i staje się w ścisłym tego słowa znaczeniu literatką. Pomysły twórcze, szczególnie te zbliżone do wspomnianego realizmu fantazyjnego zaczyna prezentować nie tylko w nowelach i powieściach, ale nawet zbeletryzowanych biografiach. Próbuje pisać wiersze i mimo tego, że jej patron literacki w tej dziedzinie jeden z najbardziej znanych poetów Meksyku uczy ją sztuki wierszowania, cierpliwie poprawia jej wierszydła, oboje dochodzą do wniosku, że z niej nie będzie żadna poetka.

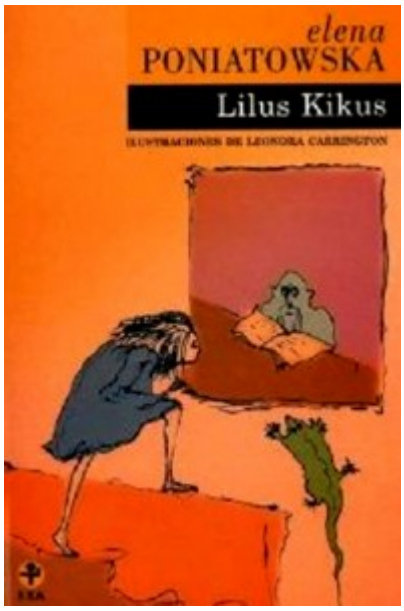

Jeszcze w czasach swego zaangażowania się w pisanie o problemach ekonomicznych i społecznych Meksyku w roku 1954 napisała krótką powieść dziecięcą. To była tylko fantazja, sny, marzenia małej dziewczynki nazwanej Lilus Kikus, która zasypiając na okrągłych schodach swego domu, we śnie po dziecięcemu ustawiała świat, by był lepszy, a ludzie szczęśliwsi. W książce tej nawet bardzo małe dzieci, mogą zleźć coś dla siebie: twory fantazji dziecięcej. Te książki są też i dla dorosłych nie tylko o tym jak dzieci marzą, ale że ich pomysły, choć fantazyjne, są mądrzejsze od tego, co światu ofiarują dorośli. Szkoda, że nie znalazł się tłumacz tego cacka na język polski.

Innym tworem czysto fantazyjnym pisarki to mały tomik zmyślonych listów paryskiej żony „pierwszego pędzla” Meksyku muralisty Diego Rivery przetłumaczony na język polski pod tytułem „Kochany Diego, całuję Cię, Quiela”. To w wyobraźni Poniatowskiej, odczucia zakochanej w swym mężu i kochanku kobiety, nagle opuszczonej bez słowa i bez dalszego kontaktu z nią. To fikcja, ale chyba bardzo bliska odczuć każdej zakochanej i porzuconej kobiety. Była nią rosyjska malarka Angelina Beloff. W tej fikcyjnej opowieści inteligentny czytelnik powinien dojrzeć subtelne odbrązowienie tego człowieka. Był bończuczny, bez wszelkich hamulców moralnych, prawdziwy komunista w sowieckim stylu. Malując ściany budynków

Nowego Jorku umieścił na nich portret Lenina. Malowidła odsłonił po zainkasowaniu umówionej zapłaty. Skompromitował jednego z Rockefellerów, który zamówił te malowidła. Ściany zamalowano. W San Francisco nie był aż tak bezczelny, wciskał wodzów komunistycznych wśród pisarzy, artystów, aktorów, by trudniej było ich zidentyfikować. Zachowały się na ścianie jednej ze szkół miasta.

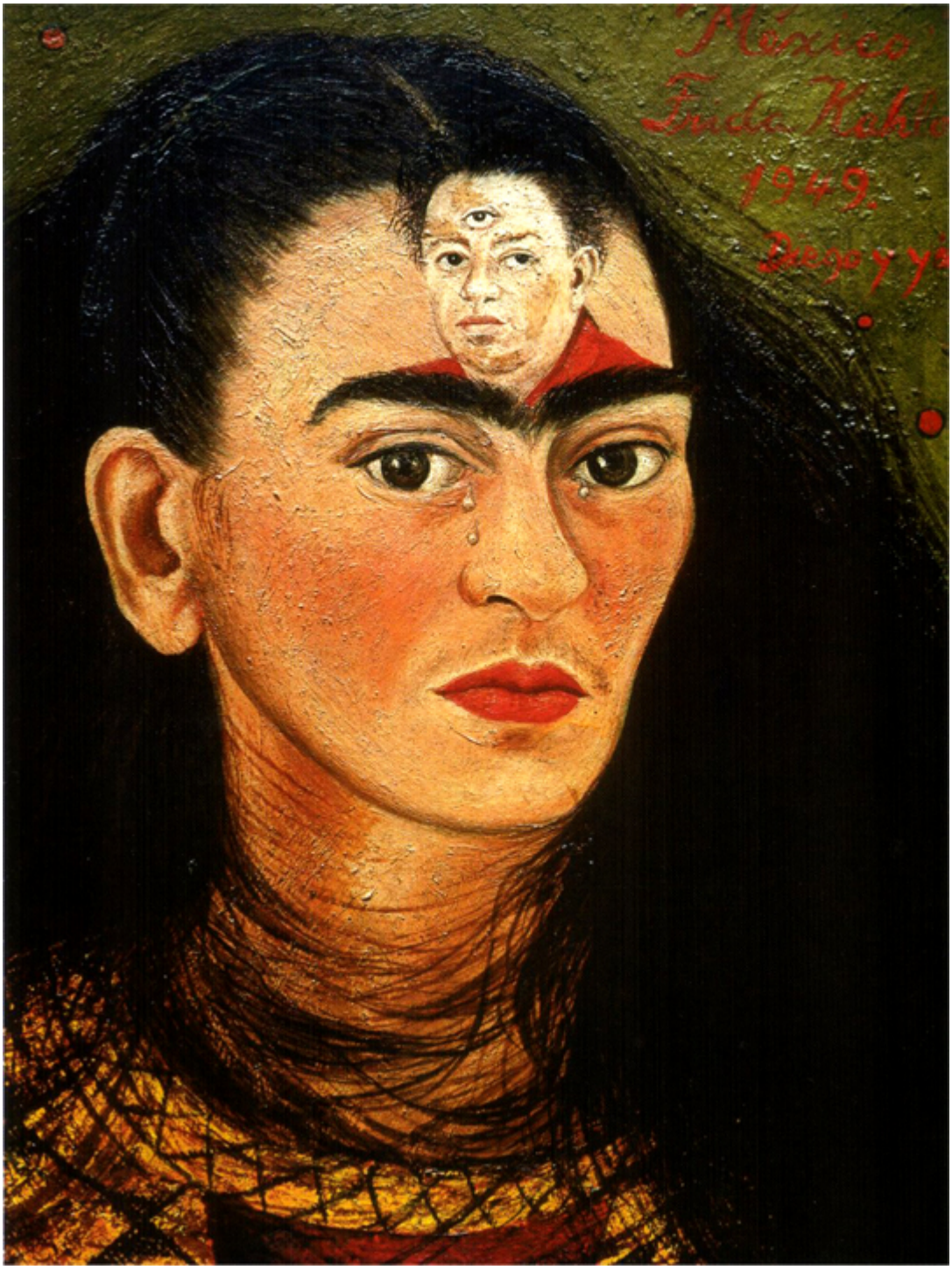

Frida Kahlo, Diego i ja, 1949 r.

Innej jego żonie Fridzie Kahlo Poniatowska poświęciła książkę opartą na faktach, skupioną na jej twórczości. To kaleka po wypadku, mieszkająca w jego domu. Była kompletnie ignorowana i zaniedbywane przez Diego, który swą „jurność" zaspakajał z kochankami, o czym Frida wiedziała i musiała tolerować. Poniatowska mając artystyczny instynkt doceniła talent nieznanej wtedy malarki. On tworzył wielkie bufoniaste obrazy, nie tylko na murach budynków wielu miast, ale także na płótnie. Frida uwięziona przez kalectwo w domu tworzyła malowidła będące najczęściej odbiciem jej nastroju, odbioru świata jej własnymi oczami. Elena kilka razy spotykała się z malarką w jej domu. Tak na wszelki wypadek była z nią zawsze mama, bo obawiała się, że Diego Rivera – podstarzały satyr może ją napastować. Rezultatem tych wizyt była książka o artystce i jej dziełach malarskich. Dopiero od niedawna docenia się twórczość Fridy Kahlo. Jej dzieła są oglądane i podziwiane na wernisażach.

Pisarka lubi fantazjować, marzyć, co przekłada się na wspomnianą wcześniej literaturę dla dzieci. Nawet tworzy niby swoją biografię, w której poza faktami pojawienia się w Meksyku w wieku 10 lat, zagubienia, szukaniu zrozumienia tego kraju i ich ludzi, reszta, to jej marzenia pomysły jak uczynić go piękniejszym, sprawiedliwszym. To „La flor de lis". Już sam tytuł może spowodować zakłopotanie u czytelnika. Tłumaczy się go jako kwiat lilii, który od XI wieku jest symbolem Francji. Jednak pierwsze słowo jest hiszpańskie, drugie francuskie, każdy to może interpretować po swojemu, dla mnie to chyba przesłanie, że Francuzka musi uczyć Meksykanów kim są i kim powinni być.

Począwszy od końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku Ponissima powoli odchodzi od problemów społecznych w Meksyku, pisze kilka artystycznych biografii ludzi, którzy ją zafascynowali, lub o najbliższych przyjaciółkach – choć są faktograficzne i czyta się je jak powieści. Zrobiło się dużo nieprzychylnego jej szumu po opublikowaniu biografii Tiny Modotti pod tytułem „Tinissima". To niezwykle piękna fizycznie kobieta, co ułatwiało jej szerzyć skrajne poglądy polityczne. Włoszka, fotografka, zaczęła swoją karierę w Hollywood u boku słynnego amerykańskiego fotografa Edwarda Westona. Przeniosła się z kochankiem do Meksyku, tutaj nie zatrzymała się długo – posądzona o udział w próbie zabójstwa prezydenta kraju uciekła do Europy i przez Berlin dotarła do Moskwy. Trzeba się było pokłonić swemu idolowi Stalinowi, który, jak się okazało rozprawiał się nie

tylko z wrogami (przypominam kilku rządców krajów demokracji ludowej, którzy wezwani do Moskwy wracali do swego kraju w trumnach). Uciekła więc z Kraju Rad, brała czynny udział w wojnie domowej w Hiszpanii, wróciła do Meksyku, bo rządził nim już inny prezydent, więc mogła bez obawy wrócić. Umarła młodo w wieku 40 lat na atak serca w czasie podróży taksówką.

Helena uhonorowała książką będącą zbiorem esejów swego patrona w czasie, gdy jeszcze była mniej znana, Carlosa Fuentesa. Napisała monografię o meksykańskim malarzu Juanie Soriano, którą w 2017 roku hispanista Marcin Żurek przetłumaczył na język polski.

Leonora Carrington

La Poni za ostatnią ze swych zbeletryzowany biografii o swej przyjaciółce zatytułowanej „Leonora”, wydanej w Barcelonie w roku 2011, otrzymała dwa lata później najbardziej znaną nagrodę literacką Hiszpanii zwaną *Premio Cervantes*, popularnie uznawaną za nagrodę Nobla literatury hiszpańskojęzycznej jako jedna z czterech kobiet z różnych krajów piszących po hiszpańsku w całej historii istnienia tej nagrody. To rzeczywiście niezwykle ciekawa książka o niesamowitej kobiecie. Miała być bogatą dziedziczką w Anglii. Od dziecka buntowała się przeciwko wszystkiemu co członkowie bogatej arystokracji tego kraju reprezentowali. Już w

dość młodym wieku zerwała ideologiczne, religijne i inne więzy z rodziną chcąc być sobą, by realizować swoje marzenia. Ma duszę artystki, realizuje się jako malarka surrealistyczna, w tej dziedzinie sztuki jest dzisiaj uważana za jedną z najwybitniejszych jej przedstawicieli. W czasach jej młodości większość wybitnych artystów i pisarzy odbywało swą artystyczną „praktykę" w Paryżu. Zakochała się w malarzu Maxie Ernst. Pod jego okiem zaczęła swą karierę artystyczną. Przyjaźniła się z Pablem Picasso, Salvadorem Dali, Joanem Miró i innymi twórcami tej grupy artystycznej. Paryż w świecie był wtedy „Mekką" ludzi, którzy coś nowego wprowadzili do myślenia, pojmowania świata, formowania nowych trendów w różnych dziedzinach sztuki.

Ernst dostał się do obozu koncentracyjnego, to załamało Leonorę do tego stopnia, że znalazła się w zakładzie dla psychicznie chorych. Szybko pozbierała się uciekła z zamkniętego zakładu. Znalazła się w Nowym Jorku – tu zrobiła furorę swymi pomysłami w dziedzinie malarstwa. Przeniosła się na stałe do Meksyku, zafascynowała sobą Poniatowską, może dlatego, że była bardziej przebojowa od niej w walce z establishmentem i dużo skrajniejsza w pomysłach artystycznych. Tu Leonora osiągnęła swe szczyty, tu stworzyła swe dzieła wybitne i niepowtarzalne. Jej wspaniała biografia to w twórczości Poniatowskiej jest także szczyt artyzmu. Doceniona została za to nagrodą literacką, którą przyjęła z rąk króla Hiszpanii.

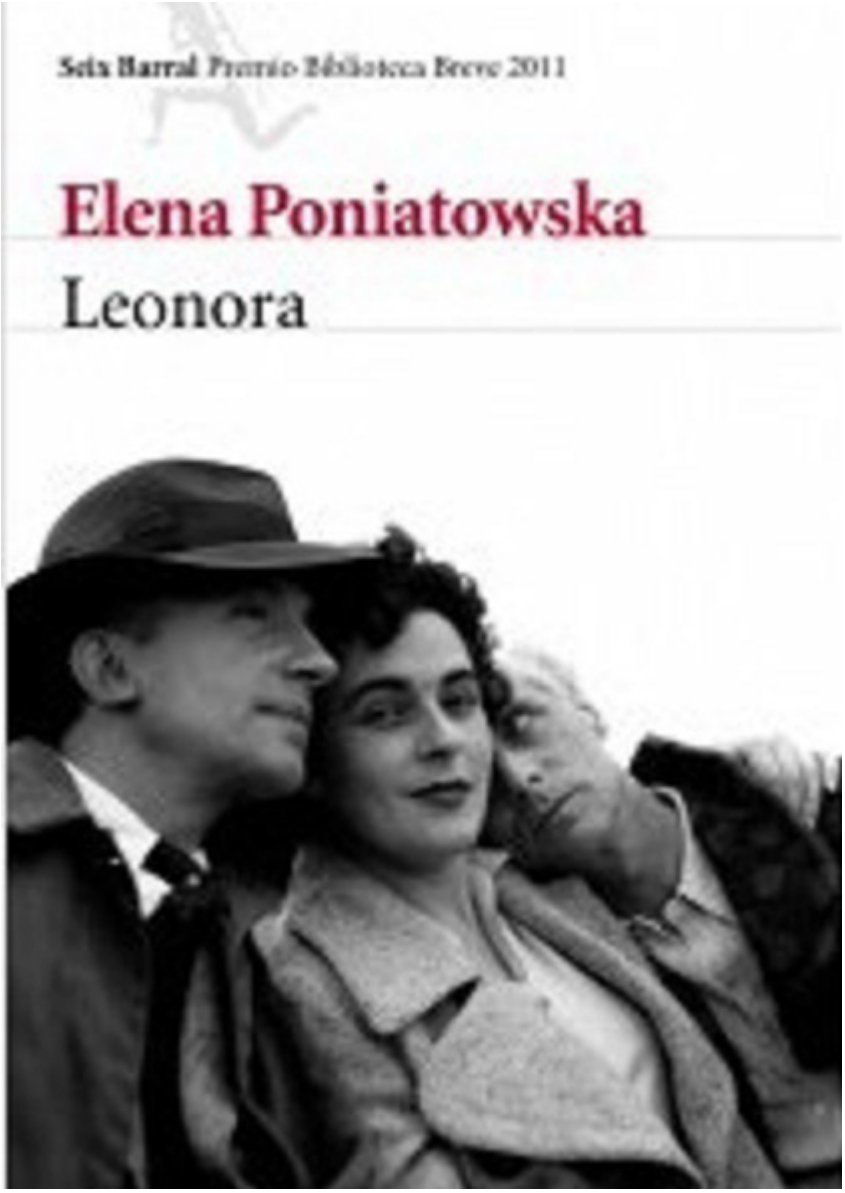

Okładka biografii Leonory Carrington, 2011 r.

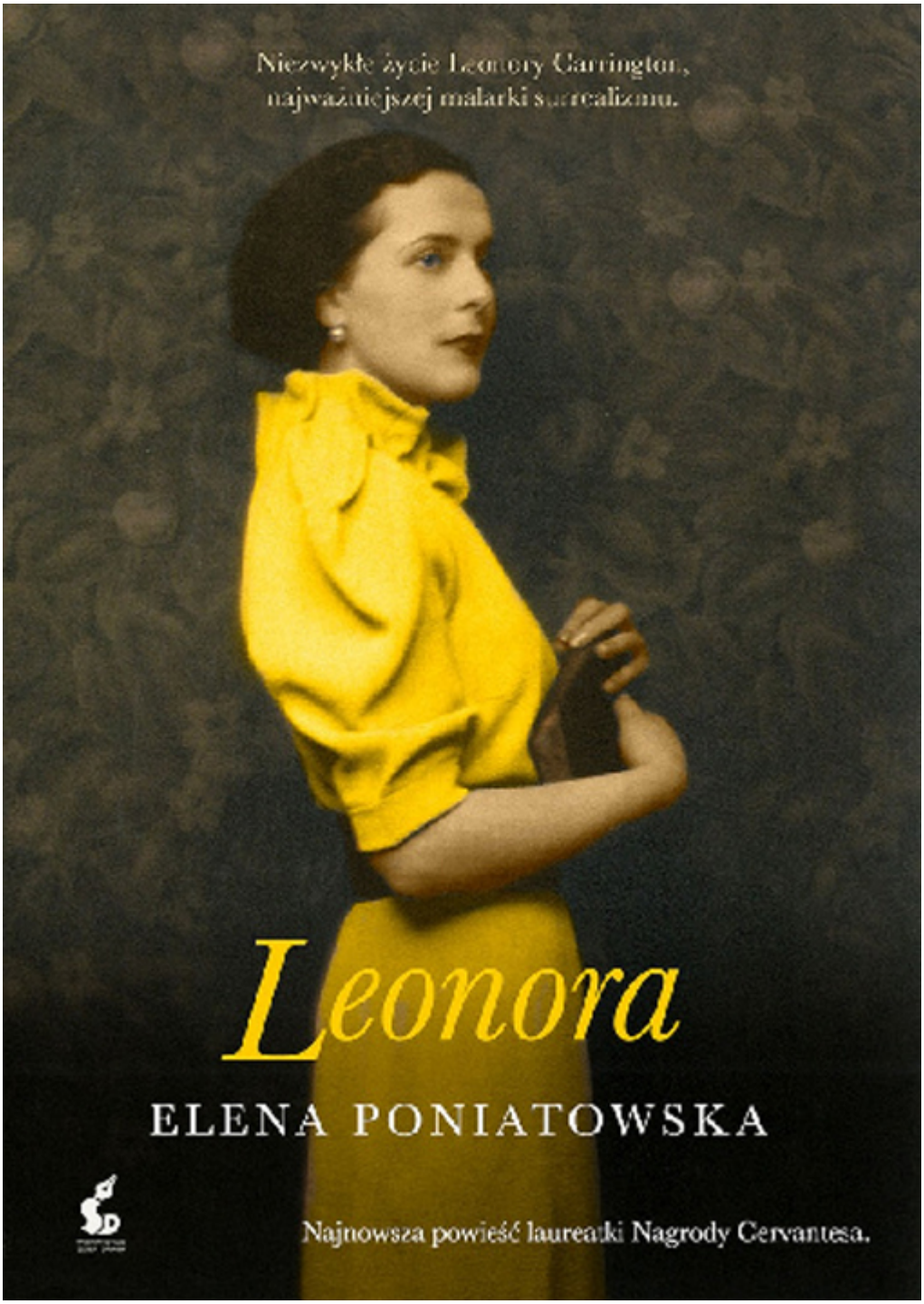

Okładka polskiego tłumaczenia biografii Leonory Carrington.

Po tym dziele sporadycznie, od czasu do czasu, ukazują się nowe teksty Eleny. Mimo, że jest osobą w bardzo podeszłym wieku, wciąż jest aktywna. Swą niesamowitą odwagą, mówieniem prawdy bez względu na konsekwencje, a przede wszystkim artyzmem swych dzieł – prawie każde z nich było jakimś ciekawym zaskoczeniem dla czytelników – stała się i poza Meksykiem człowiekiem lubianym szanowanym, wielką damą nie tylko literatury, ale odważnego myślenia, uporu w przekazywaniu swych

„recept” społecznych. Chyba trzeba przypisać szczęściu, że nie została ofiarą systemu, gdyż notorycznie organizowana była na nią nagonka. Ona Francuzka pokazała Meksykanom ponure oblicze ich ojczyzny, przekonała wielu, że i piórem można wiele dobrego zrobić, nawet w życiu politycznym i społecznym. Przyglądając się bliżej tej maleńkiej ciałem osóbce odkryłem, że to człowiek, który nie umie powiedzieć nie. Gdy coraz częściej zgłaszali się do niej początkujący pisarze z prośbą o porady, otwarła swój dom raz w tygodniu dla wszystkich, którzy takich porad szukali. Nie tylko odpowiadała na pytania, ale na przestrzeni około dwudziestu lat wygłaszała mini-wykłady o tym jak się zabierać do władania piórem. Choć miała duży dom, to był tak wypełniony książkami i innymi materiałami, że nie mieściło się w nim wiele osób. No i trzeba było uważać nie tylko na to o czym mówiła, ale by nie nadepnąć któregoś z jej licznych przyjaciół zwierzaków.

Dużo czasu zajmowało jej pisanie wprowadzeń do dziesiątek dzieł nie tylko początkujących, ale i renomowanych pisarzy również spoza Meksyku. To praca czasochłonna, bo każde takie dzieło trzeba przeczytać, a przynajmniej dokładnie przejrzeć, by coś sensownego o nim napisać. Jest ciągle zapraszana na sympozja sztuki i literatury, z odczytami, jest arbitrem w różnych konkursach literackich, tylko dlatego że, jak wspomniałem, nie zna słowa nie. Elena nie przywiązywała większej uwagi do wyróżnień i nagród za swą postawę i twórczość literacką. Różnego rodzaju trofea chowała po kątach swego mieszkania. Tych nagród były dziesiątki. Pisarka jest honorowym doktorem wielu uniwersytetów nie tylko w krajach języka hiszpańskiego, ale i kilku innych, w tym uniwersytetów amerykańskich mieszczących się w pierwszej dwudziestce najlepszych uniwersytetów świata.

Choć bym bardzo chciał, nie potrafiłbym tak zwięźle i fachowo podsumować życia i pisarstwa tej wspaniałej osoby, jak to uczyniła kapituła Nagrody Cervantes. Oto tylko pół zdania tej wypowiedzi:

> *…błyskotliwe pomysły literackie w różnych dziedzinach, typowy styl, wyjątkowe oddanie się dziennikarstwu i duży wpływ na współczesną historię.*

Pierwsza część losów Eleny Poniatowskiej – La Poni:

http://www.cultureave.com/la-poni-arystokratka-z-walecznym-piorem-czesc-1/

Joanna Sokołowska-Gwizdka – laureatką ZŁOTEJ SOWY POLONII

„Złota Sowa Polonii” jest uhonorowaniem za dokonania twórcze, artystyczne, naukowe i społeczne dla przedstawicieli światowej Polonii, Polaków aktywnych poza Polską oraz obcokrajowców, którzy działają na rzecz polskiej kultury.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Została Pani tegoroczną – 2018 roku – laureatką Złotej Sowy Polonii. Nagroda przyznawana jest od 2005 roku za dokonania twórcze poza Polską.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

– Tak, spotkał mnie wielki zaszczyt. Nagroda jest przyznawana przez Klub Inteligencji Polskiej w Austrii oraz redakcję pisma „Jupiter” za propagowanie polskiej kultury poza krajem w różnych dziedzinach. Ja ją otrzymałam w kategorii Literatura. Statuetka będzie wręczana na gali w Sali Sobieskiego Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu 24 marca br.

Czuję się niezwykle wyróżniona i doceniona. Pracuje się przecież nie dla nagród, podejmując wyzwania i wysiłek w ogóle się o nich nie myśli. Nie mniej jednak świadomość, że nasza praca nie pozostaje bez echa, że została zauważona, sprawia wielką radość.

Jest Pani autorką książki o Helenie Modrzejewskiej. Jak się zaczęło Pani zainteresowanie, które zamieniło się w pasję tą niezwykłą postacią wielkiej aktorki? Za co możemy teraz – z perspektywy lat – podziwiać Modrzejewską?

– Zainteresowanie aktorką zaczęło się, gdy pierwszy raz odwiedziłam Kalifornię, na przełomie 1997 i 1998 roku. Uświadomiłam sobie wówczas, że to tu było jej miejsce, które sobie wybrała, miejsce wymarzone, gdzie stworzyła dom – oazę, wśród słońca i palm ze świeżym, morskim oddechem znad Pacyfiku. W Kalifornii są jedne z piękniejszych zachodów słońca, a białe szczyty gór, niczym mury tonących w kwiatach i zieleni hiszpańskich misji, gubią się w chmurach. I właśnie w takiej scenerii aktorka stawiała pierwsze kroki na deskach amerykańskiego teatru, przemierzając wielokilometrowe dystanse.

Podczas tego pierwszego pobytu „w kraju Modrzejewskiej” zorientowałam się, że mimo wielu śladów w postaci m.in. nazw geograficznych, niewiele o aktorce wiadomo. Sama zresztą byłam ciekawa, kim była. Po powrocie do Polski zaczęłam więc ją poznawać. I tak nasza „znajomość”, nawiązywana z dłuższymi, lub krótszymi przerwami, trwa do dziś.

Helena Modrzejewska stała się dla mnie kimś bliskim. Wielokrotnie czytałam jej listy, wspomnienia, książki na jej temat. W efekcie „zaprzyjaźniłam” się z nią. Znam ją zarówno jako człowieka pełnego radości, jak i wątpliwości, wielkich wzlotów i upadków, znam ją z życia codziennego, dowcipną, uśmiechniętą, pielącą ogródek, czy narzekającą na los gwiazdy, która musi smażyć kotlety i cerować skarpetki

swoim panom. Widzę ją spacerującą wśród cyprysów w kalifornijskim Ardenie, pielęgnującą ukochane róże oraz na scenie, jako wielką aktorkę wzbudzającą niezapomniany dreszcz, oklaskiwaną zarówno przez tłumy w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, jak i garstkę widzów w małych prowincjonalnych amerykańskich teatrzykach. Doceniam, że nigdy nie zapomniała o Polsce i swoją postawą kształtowała opinię publiczną. Np. podczas każdej tury artystycznej grała jedną scenę Ofelii z „Hamleta" po polsku, aby „nie zapomniano z jakiego kraju pochodzi".

Cenię ją więc za to jaką była artystką, Polką i jakim była człowiekiem. Myślę, że uniwersalnymi cechami, za które można podziwiać aktorkę jest jej determinacja w pokonywaniu przeszkód, odwaga i niezwykła pracowitość.

Modrzejewska pochodziła z rodziny, która nie ułatwiła jej startu w życie, do wszystkiego doszła sama własną pracą i talentem. Początki jej kariery aktorskiej to podróże po drogach Galicji i występy w prowincjonalnych teatrzykach. Jednak pokonała wiele niepowodzeń i stała się gwiazdą Teatrów Rządowych w Warszawie. Będąc na szczycie sławy potrafiła podjąć nowe wyzwanie – zaczęła budować karierę za Oceanem od początku i to bez znajomości języka angielskiego. Uczyła się dzień i noc, aby móc wyjść na scenę i zagrać w języku Szekspira. Dzięki wytrwałości zdobyła ogromną popularność na amerykańskim kontynencie. Może o tym świadczyć fakt, że producenci damskich strojów, butów czy przyborów toaletowych ubiegali się o firmowanie nazwiskiem Modrzejewskiej swoich wyrobów. Artystka zaczęła dyktować modę, maniery, zachowanie, gesty. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie" Modjeską. Tam gdzie występowała fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie kosze kwiatów z „gwiazdą północy" na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż.

Mimo tych sukcesów Modrzejewska nie spoczęła na laurach, nie „odrywała kuponów" nawet wtedy, gdy recenzenci rozpisywali się w samych superlatywach na jej temat. Pamiętała, że „fortuna kołem się toczy", miała w sobie wiele pokory, do końca życia pracowała nad rolami, rozwijała je, wzbogacała swoimi doświadczeniami życiowymi. Tak więc pracowitość i pokora nawet po stu latach się nie zdezaktualizowały.

Joanna
Sokołowska-Gwizdka

Co otrzymałam od Boga i ludzi

Opowieść o Helenie Modrzejewskiej

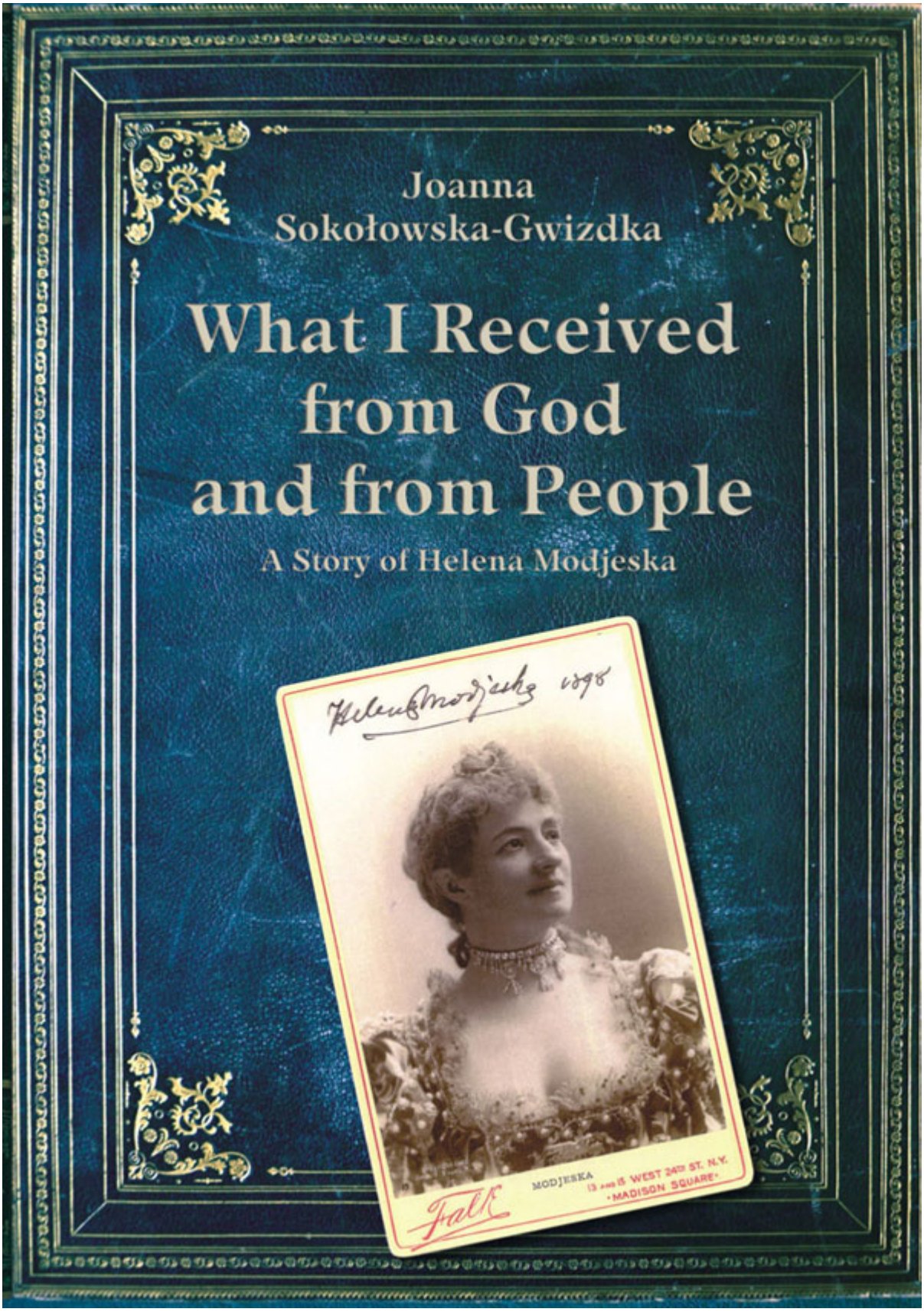

Pani książka ma tytuł: „Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej" (*BoRey Publishing, Somerset, New Jersey 2009*). Skąd ten

cytat?

– Modrzejewska dużą wagę przywiązywała do pisania wspomnień. Już w młodości prowadziła dziennik, a z biegiem lat słowo zapisane, jako ponadczasowe, miało dla niej coraz większe znaczenie. Zresztą została obdarowana również talentem literackim i bogatą wyobraźnią. Po zejściu ze sceny i opuszczeniu swojego ukochanego Ardenu, czując nieubłagany upływ czasu podsumowywała swoje życie:

> *Gdy siedzę na ganku naszej willi i patrzę na purpurowe wzgórza Santa Ana, na wierzchołki Sierra Madre albo w błękitne wody zatoki, mam uczucie spokoju i zadowolenia. Miłość do moich najbliższych wypełnia mi serce po brzegi i chociaż w myślach goszczą często obrazy ze świetnej przeszłości na scenie, to jednak nie żal, nie gorycz mąci moją świadomość, ale wypełnia ją wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga i ludzi.*

Tak się kończą wspomnienia Heleny Modrzejewskiej. Ja wykorzystałam ostatnie zdanie jako klucz do otwarcia przeszłości. Spróbowałam stworzyć portret artystki i człowieka, poprzez mój pryzmat widzenia tej postaci.

Książka jest dwujęzyczna, nieduża, pięknie wydana ze wstępem prof. Kazimierza Brauna. Do jakiego czytelnika książka jest skierowana?

– W moim zamyśle książka miała rozpowszechnić wiedzę na temat Heleny Modrzejewskiej w Ameryce, gdzie aktorka spędziła ponad 30 lat i uświadomić, jak wiele zrobiła dla historii kultury tego kontynentu. Przecież przed nią prawie nie znano tu Szekspira. A ona jeździła w najdalsze zakątki Ameryki, wożąc ze sobą kostiumy, dekoracje, z czasem podróżowała z własnym zespołem aktorów. Na spektakle, w dużej części szekspirowskie, przychodzono głównie dlatego, aby zobaczyć słynną „zamorską gwiazdę”, o której krążyły legendy.

Tak więc książka skierowana jest przede wszystkim do czytelników z USA i Kanady. Jest odwracana i ma dwie okładki. Na okładce po stronie polskiej znajduje się fotografia Modrzejewskiej zrobiona w Krakowie, po angielskiej zaś – w Nowym Jorku.

Mimo, że z zebranego przeze mnie materiału mogła wyjść książka bardzo obszerna i

zbliżyć się do monografii, jednak zdecydowałam, że w dobie smsów i innych krótkich i treściwych form porozumiewania się, lepiej napisać książkę zawierająca pewną ilość informacji, ale nie za długą, którą można przeczytać w podróży, lub siedząc wygodnie w fotelu przy kominku w zimowy wieczór. W obecnym wyścigu z czasem, taka podręczna książka ma większą szansę dotarcia do dużej ilości osób. Wydaje mi się, że świetnie nadaje się na prezent zarówno dla polskiego czytelnika, jak i dla tych, którzy z Polską nie mają nic wspólnego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas wieczoru nt. Heleny Modrzejewskiej w Austin, Teksas, listopad 2017 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy teraz, po latach jej syn, Ralph Modjeski wielki budowniczy mostów, jest równie sławny jak jego matka?

– Na pewno tak. Świadczy o tym m.in. fakt, że firma założona przez Ralpha Modjeskiego (Rudolfa Modrzejewskiego, zwanego w domu „Dolciem”), istnieje do dziś, szczycąc się ponad stuletnią historią. Główna siedziba firmy „Modjeski and Masters” mieści się w Harrisburgu w Pensylwanii. Myślę, że Rudolf Modrzejewski nie przewidywał, że tworzy firmę, która będzie działać jeszcze długo po jego śmierci (zmarł w 1940 roku w Los Angeles).

Ralph Modjeski skończył prestiżową państwową szkołę dróg i mostów w Paryżu (*Ecole Nationale des Ponts et Chauseés*), a potem terminował jako inżynier u słynnego konstruktora George’a S. Morisona, zwanego ojcem amerykańskich mostów. W 1911 roku uzyskał doktorat z inżynierii w *Illinois State University*.

Zasłynął jako pionier w budownictwie tzw. mostów wiszących. Zbudował ponad 40 mostów na największych rzekach w Północnej Ameryce, m.in. Thebes Bridge na Mississippi, Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii, Ambassador Bridge w Detroit, Trans-Bay Bridge w San Francisco itd. Jego uczniem był Joseph B. Strauss – twórca słynnego mostu Golden Gate w San Francisco. Ile razy przejeżdżam przez któryś z wielkich amerykańskich mostów ze spektakularnym widokiem na potęgę rzeki, nie mogę się nadziwić, jak człowiek i to ponad sto lat temu, mógł wymyślić tak niesamowitą i trwałą konstrukcję.

Co dzieje się z dworkiem aktorki w Arden?

– Helena Modrzejewska nazwała Ardenem swoje kalifornijskie rancho – od Lasu Ardeńskiego ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba”. Miało to być miejsce wolności, artystów i sztuki, zgodnie z teatralnym pierwowzorem. Modrzejewska wraz ze swoim mężem Karolem Chłapowskim mieszkała tam głównie w okresie wakacyjnym i świątecznym w ciągu 18 lat. Wiele przyczyn złożyło się na to, że w 1906 roku Chłapowscy sprzedali Arden. Obecnie jest tu muzeum Heleny Modrzejewskiej (*Arden Modjeska Historic Home & Garden*), a zbiorami opiekuje się Fundacja Heleny Modrzejewskiej, która rekonstruuje wygląd domu, gromadzi wyposażenie i pamiątki, związane zarówno z artystką, jak i epoką. Zamówiono np. taką samą makatkę przedstawiającą Matkę Boską, jaka wisiała w sypialni Heleny, w tej samej firmie w Zakopanem, w której zamawiała Modrzejewska. Prawnuczka Modrzejewskiej, która jest rzeźbiarką i mieszka na Alasce zrekonstruowała ozdobny

stół, który stał w salonie. Tak więc dom po latach użytkowania przez innych właścicieli nabiera powoli charakteru sprzed lat.

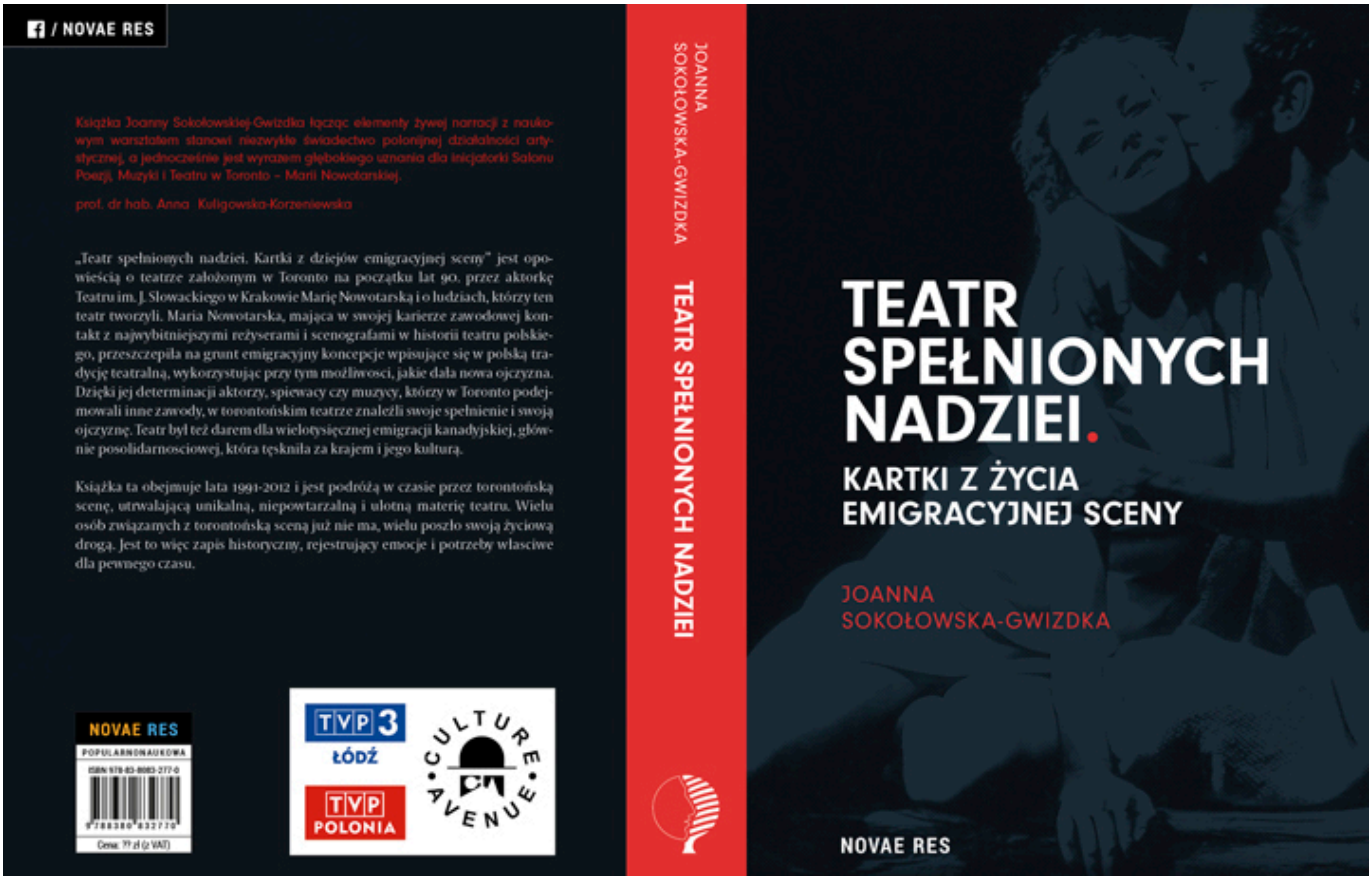

Pani Joanno, w 2016 roku wydała Pani książkę poświęconą teatrowi emigracyjnemu w Toronto. Jest to duża praca monograficzna. Na czym polega fenomen teatru polskiego w Toronto?

– Salon Poezji, Muzyki i Teatru im. Jerzego Pilitowskiego został założony w 1991 roku przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie – Marię Nowotarską. Od tej pory w Salonie było ponad 100 premier – od kameralnych spotkań literackich z towarzyszeniem instrumentu, po duże, wieloobsadowe, często fabularyzowane spektakle słowno-muzyczne. Maria Nowotarska wykorzystuje ogromny potencjał, który tkwi w utalentowanych artystach torontońskich, pracujących bardzo często w swoich zawodach na kanadyjskiej scenie, a także w uzdolnionej młodzieży, uczącej się w teatrze piękna polskiego słowa. Aktorka i reżyser jednocześnie, ma w sobie niezwykły magnetyzm, który do teatru przyciąga talenty. Aktorzy, śpiewacy, plastycy pracują z poświęceniem wiele godzin, za symboliczną gratyfikację finansową, bo cenią radość tworzenia i bycia potrzebnym publiczności. Na szczególną uwagę

zasługują sztuki specjalnie pisane dla tego teatru przez dramaturga i reżysera z Uniwersytetu w Buffalo – prof. Kazimierza Brauna. Stanowią już w tej chwili cykl portretów słynnych Polek-emigrantek – Heleny Modrzejewskiej, Marii Skłodowskiej-Curie, Poli Negri czy Hanki Ordonówny, wzbudzających emocje i szerzących wiedzę o bohaterkach. Aktorki – Maria Nowotarska i jej córka Agata Pilitowska bardzo dużo podróżują z tymi sztukami – od najdalszych zakątków Kanady przez Stany Zjednoczone, Amerykę Południową po Europę.

Odpowiadając na Pani pytanie właśnie na tym według mnie polega fenomen tego teatru, że bez lokalu, zaplecza, sztabu ludzi zajmujących się kostiumami czy sprawami technicznymi, w emigracyjnych warunkach ze szczupłymi zasobami finansowymi, teatr powstał, jest, tyle lat działa i cały czas się rozwija.

Książka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny" (*Novae Res, Gdynia 2016)*, która oprócz odtworzenia działalności teatru z ponad 20 lat, objęła 270 godzin wywiadów z ludźmi kultury i sztuki z wielu pokoleń emigracji, wyszła na XX Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie. Następnego dnia miała miejsce promocja w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Było to dla mnie wielkim przeżyciem, bo teatr ten był przecież od początku jego powstania sercem tego „co w polskiej duszy gra", a kamień węgielny położyła pod nim sama Helena Modrzejewska. Od tej pory książka zaczęła żyć własnym życiem podczas licznych wyjazdów i wieczorów autorskich. Zostałam zaproszona między innymi przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Krakowie, Polskie Towarzystwo Ziemiańskie w Warszawie czy też Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie. Po powrocie do USA byłam w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, a w Teksasie miałam już wieczory w Houston i w Austin, gdzie mieszkam. Cieszy mnie, że moja opowieść o polskim teatrze w Toronto prowokuje do dyskusji na temat polskiej kultury poza krajem, jej roli w wychowaniu młodego pokolenia wyrastającego poza polskojęzycznym środowiskiem kulturowym i jej przyszłości.

Przed wyjazdem do Kanady pracowała Pani na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Literatury Staropolskiej oraz współpracowała Pani z polskimi mediami, prasą i telewizją. Po wyjeździe podtrzymywała Pani kontakty pisząc w Polsce do pism: „Tygiel kultury", „Jazz forum", „Ruch Muzyczny". Poza Polską do pism – „Nowy Dziennik" (Nowy Jork), „Gazeta" (Toronto),

„Pamiętnik literacki” (Londyn). Jakie tematy Panią szczególnie interesują?

– Zawsze mnie interesują tematy związane z polską kulturą i historią. W pierwszej połowie lat 90. byłam przedstawicielem Festiwalu Chopinowskiego w Nohānt we Francji. Zebrałam dużo materiału o Chopinie i George Sand, a potem ta romantyczna para stała się bohaterem wielu moich artykułów.

Cenię twórczość Marii Kuncewiczowej. Jeszcze jako studentka byłam przez nią przyjęta w jej domu w Kazimierzu nad Wisłą, krótko przed jej śmiercią. Oprowadziła mnie po swojej pięknej drewnianej willi ze skrzypiącymi podłogami, opowiadając niezwykłe historie bliskich jej ludzi i różnych przedmiotów z nimi związanych. Mówiła o planach dotyczących domu i o tym, że regularnie pisze listy do swojego zmarłego męża Jerzego. Potem kontaktował się ze mną jej syn Witold Kuncewicz, dziękując za mój tekst-wspomnienie. „Zaczarowany Dom pod Wiewiórką” pojawia się od czasu do czasu na nowo, przypominając wielką pisarkę.

Materiał historyczny – zagłada pacjentów największego przedwojennego szpitala psychiatrycznego w Kocborowie (obecnie Starogard Gdański) w październiku 1939 roku oraz postawa lekarzy wobec terroru wojny – to kolejny obszar moich zainteresowań. Zamordowanym wówczas przez Niemców ordynatorem i zastępcą dyrektora w tym szpitalu, był brat mojej babci Józef Kopicz. Między innymi dlatego temat ten jest dla mnie bardzo ważny. Mój artykuł „Oddział podróży do nieba” przywoływany jest w różnych kontekstach, m.in. podczas konferencji psychiatrycznych.

Interesuje mnie też historia obyczajów staropolskich. Myślę, że zainspirował mnie wielki polski historyk, specjalizujący się w czasach Jagiellonów, autor słynnej książki „Barbara Radziwiłłówna”, prof. Zbigniew Kuchowicz, z którym miałam na studiach wykłady właśnie z historii obyczaju.

Zbieram też pamiątki po Janie Ignacym Paderewskim, mam nadzieję, że je wykorzystam przy kolejnej dwujęzycznej książce.

Bardzo lubię formę wywiadu. Każdy z moich rozmówców coś ciekawego wnosi do mojego życia, coś mi zostawia, myśl, przesłanie, sposób na życie, wizję świata. Rozmowy z twórcami polskiej kultury bądź z osobami, które odkrywały inne kultury

czy nieznane mi obszary wiedzy, traktuję jako bardzo cenne dary.

Joanna Sokołowska-Gwizdka po spotkaniu autorskich w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, kwiecień 2017 r., fot. Andrzej Sokołowski.

W latach 2001-2005 mieszkała Pani wraz z mężem Jackiem w Toronto, największym skupisku Polonii Kanadyjskiej, znanym z wielu organizacji, fundacji, stowarzyszeń, prasy, wydawnictw. Po ukończeniu doktoratu przez Pani męża na Uniwersytecie w Toronto, przenieśli się Państwo do New Brunswick w stanie New Jersey, gdzie Dr Jacek Gwizdka pracował na Uniwersytecie Rutgers. Od 2013 roku mieszkają Państwo w Austin w Teksasie, gdzie Pani mąż został profesorem na *University of Texas at Austin.*

W Toronto prowadziła Pani – i kontynuowała po przeniesieniu się do Stanów Zjednoczonych – miesięczny dodatek literacki do „Gazety". Dodatek nosił tytuł „List oceaniczny". Czym wyróżniał się „List oceaniczny"?

– „List oceaniczny” redagowałam od stycznia 2003 do czerwca 2008 roku. W czasie mojej redakcji charakter pisma się zmieniał. Na początku planowałam, że będzie to forum do dyskusji na tematy literackie, filozoficzne i historyczne, że będę zapraszać do współpracy wybitnych pisarzy, eseistów, felietonistów i artystów polskiego pochodzenia z całego świata. Z czasem doszłam do wniosku, że to za szeroki obszar, ograniczyłam go więc do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Robiłam oczywiście wyjątki dla ciekawych tekstów literackich czy historycznych, które prowokowały do przemyśleń. W prawie każdym numerze umieszczałam wywiad – portret, przedstawiający dokonania wybitnego artysty, pisarza czy naukowca głównie z Kanady. Zebrał się już materiał na książkę portretującą trzy pokolenia Polaków w kraju klonowego liścia.

W 2016 roku założyła Pani literacki magazyn internetowy poświęcony polskiej kulturze poza krajem – „Culture Avenue”, który stał się żywą kroniką dawnych i obecnych działań polskich twórców mieszkających poza krajem. W 2018 roku otrzymała Pani nagrodę im. Macieja Płażyńskiego dla dziennikarzy i mediów służących Polonii przyznaną przez Press Club Polska w kategorii medium polonijne za redakcję pisma i promowanie polskich twórców rozsianych po świecie, często nieznanych w Polsce.

– Tak, magazyn literacki „Culture Avenue” jest niejako kontynuacją „Listu oceanicznego”. Został on zarejestrowany przez Bibliotekę Narodową w dziale wydawnictw ciągłych i otrzymał numer ISSN. Swoją rubrykę ma tu profesor Florian Śmieja z Kanady, nestor poetów emigracyjnych, współzałożyciel słynnej powojennej grupy poetyckiej „Kontynenty”, który w 2015 roku otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu oraz Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej, przyznany przez króla Hiszpanii Filipa VI za propagowanie języka i literatury hiszpańskiej na świecie. Profesor Florian Śmieja nie tylko publikuje swoje teksty na łamach „Culture Avenue”, ale też bardzo mi pomaga poprzez swoje doświadczenie, wiedzę, życzliwość i kontakty.

W „Culture Avenue” staram się pokazywać ciekawych twórców polskiego pochodzenia, którzy tworzą poza Ojczyzną w różnych dziedzinach. I to zarówno tych bardzo znanych, nagradzanych, jak i mniej znanych, ale robiących interesujące rzeczy. W środy przedstawiane są wirtualne wystawy artystów plastyków, w piątki

ukazują się wywiady. Dla „Culture Avenue” piszą autorzy z Kanady i z USA oraz z Litwy, Norwegii, Polski i innych krajów Europy, a także z Australii i Republiki Południowej Afryki. Niedawno otrzymałam niebywały prezent – prawie 1000 stron opisu niezwykłego życia, zmarłego w 2017 r. kanadyjskiego reżysera, Tadeusza Jaworskiego. Jego filmowa wędrówka przez życie ukazuje się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca.

Dla mnie redagowanie „Culture Avenue” jest swego rodzaju misją, aby polska kultura powstająca spontanicznie, z potrzeby, poza zinstytucjonalizowanym obszarem kraju została utrwalona, żeby pozostał ślad po niezwykłych ludziach z różnych emigracyjnych pokoleń, którzy o tę kulturę walczyli i walczą.

Federacja: Kongres Polonii w Austrii,
Klub Inteligencji Polskiej oraz Redakcja pisma JUPITER

zapraszają na Koncert-Galę

ZŁOTE SOWY POLONII
GOLDENE EULEN

24 marca 2018, godz. 17.00

Sala im. Jana III Sobieskiego, Wiedeńska Stacja PAN
1030 Wien, Boerhaavegasse 25

Prowadzą: Jadwiga Hafner i Armin Innerhofer
W części artystycznej gościnnie wystąpią:
Halina Graser i Agnieszka Malek z zespołem

WIEN KULTUR

ANGORA

SRKP

SENAT RP

Wstęp, ze względu na ograniczoną ilość miejsc,
tylko po uprzedniej rezerwacji:

Tel.: 01/ 71 86 886
e-mail: kpi@chello.at

JUPITER

La Poni – arystokratka z walecznym piórem. Część 1.

Władysław Pomarański

Elena Poniatowska

Elena Poniatowska obywatelka Francji, a później także Meksyku, jest znana w tym kraju jako La Poni, gdyż Meksykanie nie chcieli łamać sobie języka przy wymawianiu jej nazwiska. To wybitna pisarka, na swym koncie ma ponad 30 książek i kilka tysięcy artykułów. Ukazało się też przynajmniej dziesięć jej biografii.

Mój przyjaciel iberysta Florian Śmieja, mąż innej Poniatowskiej – Zofii, będąc w Meksyku miał okazję poznać i porozmawiać z Eleną. Opowiadał mi potem o spotkaniu z tą inteligentną, doświadczoną życiem, skromną osobą, od niego więc dowiedziałem się o jej istnieniu. Doceniana jest i poważana za artykuły zebrane w wielotomowych wydaniach zbiorowych, w których odważnie krytykuje wszelkie anomalie polityczne i społeczne Meksyku. Pisze i publikuje również dzieła czysto literackie: powieści i opowiadania dla dorosłych i ciekawe pełne fantazji opowiadania dla dzieci. Mieszczą się one w nurcie zwanym realizmem magicznym – to najwspanialszy dar Ameryki Łacińskiej dla literatury światowej. Najbardziej znanym

jego przedstawicielem jest Gabriel Garcia Márquez ze swoją fenomenalną powieścią „Sto lat samotności”. Osiągnięciem tego trendu literackiego jest zręczne połączenie faktów z fantazją, snami, światem duchów, ludowych przypowieści i bajek. Utwory są tak skomponowane, że czytelnik gubi się – nie bardzo wie co może uznać za świat realny, a co za twór fantazji. Im to bardziej pogmatwane i zręczniejsze, tym cenniejsza powieść.

W Elenie Poniatowskiej płynie książęca krew, jeśli przyjąć, że potomstwo brata króla, jest potomstwem książęcym. Król Stanisław August Poniatowski miał kilku braci, jeden z nich był arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Polski. Dwaj inni: Andrzej – generał austriacki i ojciec znanego wszystkim księcia Józefa oraz Kazimierz pozostawili po sobie legalne potomstwo (czego nie można powiedzieć o królu). Andrzej jest prapra… dziadem Eleny.

Pisarka urodziła się w roku 1932 w Paryżu z ojca Jana Poniatowskiego, obywatela Francji i matki Marii Dolores Pauli Amor Escandon. Nadano jej kilka imion, pierwszym było Helène. Posługuje się tylko nim i jego odmianami w języku hiszpańskim i angielskim. W rodzinie jej matki też płynęła „błękitna krew”: była to szlachecka rodzina latyfundystów meksykańskich pochodzenia francuskiego – niektórych z członków tej rodziny rewolucje i wojny domowe przepędzały do Francji. Rodzina, z wyjątkiem ojca Eleny powołanego do wojska, uciekła przed hitlerowcami w czasie II wojny światowej z Francji do Meksyku: najpierw dwie córki – Helena i młodsza Zofia, znana bardziej jako Kitzia, odesłane zostały do posiadłości dziadka Andrzeja Poniatowskiego w Południowej Francji, czyli do tak zwanej „wolnej strefy”. Matka Paulette dołączyła do nich nieco później, bo na początku wojny będąc członkinią tajemnego ruchu oporu, była równocześnie kierowcą karetki pogotowia Czerwonego Krzyża. Gdy pobyt u dziadka Andrzeja Poniatowskiego stał się niebezpiecznym, wtedy cała trójka przeniosła się do Meksyku. Helena dotarła tu jako 10-letnia dziewczynka.

Elena Poniatowska, fot. archiwum prywatne E. Poniatowskiej.

Ojciec walczył dzielnie w wojsku pod dowództwem generała De Gaulle'a w czasie całej wojny, dostał osiem medali za męstwo, postradał przy tym zdrowie. Dołączył do rodziny po wojnie. Rodzina w tym czasie się powiększyła: urodził się chłopiec, także Jan jak ojciec. Zginął on potem w wypadku samochodowym mając 20 lat.

Helena, od teraz Elena, początkowo czuła się w Meksyku jak osoba wyrzucona na bezludną wyspę. Nie wysłano jej do regularnej szkoły funkcjonującej w języku

hiszpańskim, ale do szkoły angielskojęzycznej. W domu mówiono po francusku: bona pilnowała, by dziewczynki nie tylko nie traciły go w obcojęzycznym kraju, ale rozwijały jego znajomość. Gdy sytuacja ekonomiczna rodziny poprawiła się, wynajęto Magdalenę Castillo, wiejską dziewczynę, góralkę ze stanu Pueblo, żeby była z dziećmi i w dzień, i w nocy, bo matka i babka bywały zapraszane do domów z ich kręgu towarzyskiego. Obowiązkowe było też pokazywanie się w teatrze i na koncertach. Nie mogły więc wystarczająco dużo czasu spędzać z dziećmi. Od czasu do czasu babka znajdowała wolną chwilę by porozmawiać z wnuczkami. Ta sfrustrowana kobieta usiłowała nasączyć je nienawiścią do wszystkiego co meksykańskie, twierdząc, że mieszkańcy tego kraju to potomkowie dzikich ludożerców. Pokazywała im zdjęcia w *National Geographic* o mężczyznach z półdzikich plemion, przyozdabiających swoje głowy kośćmi ludzi uprzednio przez nich zjedzonych. To, oczywiście, według opowieści babci, rodowici Meksykanie w najnowszym wydaniu. Zalecała więc unikania wszystkich mówiących po hiszpańsku, by z ich ręki nie zginąć, a potem nie być zjedzonym. Początkowo Elena wierzyła w te brednie, ale ani jej niania, ani koleżanki i koledzy z ulicy nie wyglądali na potomków ludożerców – w kontaktach z nimi poznała język hiszpański z nieco odmiennym górskim akcentem niani i niektórymi wyrażeniami lub słowami z terenów gór Pueblo. Dość szybko otrząsnęła się więc z opowiastek babci.

Rodzina uznała, że poznanie języka angielskiego jest rzeczą konieczną dla przyszłej kariery córek – po podstawowej szkole angielskiej, do której uczęszczały w stolicy, wysłano je do prywatnej szkoły dla panienek z bogatych rodzin w zakonie sercanek w Pensylwanii. To tradycyjna szkoła zakonna owych czasów: dużo nauki, dużo modlitw, skromne posiłki, dyscyplina prawie wojskowa egzekwowana częstymi rózgami (cienkimi, by bardziej bolało). Dziewczynki pisały rozpaczliwe listy do swej niani, by przekonała rodziców, aby je zabrali do domu, bo nie wiedzą co z sobą zrobią.

Mimo to Elena dokończyła szkołę jako prymuska, a zakonnice chcąc się nią pochwalić szykowały dla niej miejsce na prywatnym katolickim uniwersytecie. Chciała studiować medycynę, ale gdy to powiedziała w rodzinie, wyśmiano ją, a babcia sprawna w opowiadaniu horrorów zapytała ją jak sobie wyobraża siebie w towarzystwie cuchnących gołych męskich trupów w prosektorium. Zaczęła więc myśleć o zawodzie dziennikarskim. Od niechcianych studiów na uniwersytecie

wyzwolił ją krach ekonomiczny w Meksyku. Dziewczyny wróciły do domu.

Helena do tej pory nie doznała biedy, bo mimo, że latyfundia jej matki i babki zostały skomasowane, to majątek ruchomy został. Skończyły się bale, ojciec by podreperować finanse rodzinne założył jakieś laboratoria, splajtował, potem otworzył restaurację – następny niewypał. Działał też w bankowości, farmaceutykach, kopalnictwie, bez widocznych rezultatów. Zdesperowany, znerwicowany, popadł w depresję i umarł.

Te kilka lat nauki u sercanek nie umocniło wiary Eleny, ale wzbogaciły ją intelektualnie. Już jako osiemnastolatka zaczęła pisać artykuły najpierw do mniej znanych gazet, a dwa lata później do renomowanej gazety *Excelsior.* Dość *s*zybko staje się tak popularna, że druga z dwóch najpopularniejszych gazet Meksyku *Novedades* przekonała ją by się do niej przeniosła, oferując jej prawie trzykrotnie wyższą gażę. Jej pochodzenie książęce, no i świetne pióro, otwiera jej możliwości kontaktowania się i prowadzenia wywiadów z członkami rządu, z najbardziej znanymi literatami i artystami z różnych dziedzin sztuki i wielu innymi prominentami kraju. Obok wywiadów prowadzi w gazecie kronikę towarzyską, a także publikuje zwyczajne ploteczki, porady kosmetyczne, np. wylansowała modę na delikatnie umalowane usta, bez używania ciemnych szminek.

Teraz to nie ona szuka kontaktów z prominentami, lecz oni z nią, choć w wywiadach zadaje dociekliwe, niekiedy ambarasujące pytania – podpuszcza pytanych by się kompletnie odsłonili – czytelnicy często tylko z tego powodu kupowali gazety. Takich wywiadów przeprowadziła tysiące. Stała się bardzo słynna, ale była też coraz bardziej sfrustrowana tego typu pisaniem, pogonią za tanią sensacją, a także poziomem intelektualnym większości ludzi z jej wywiadów. Postanowiła wypróbować swe siły dziennikarskie we Francji, tym bardziej że łatwiej było jej przeprowadzać wywiady w jej ojczystym języku.

Zjawiła się u dziadka Andrzeja – ten bogaty i oświecony magnat swoimi wpływami wprowadził ją na salony i skontaktował ze „śmietanką” artystyczną kraju. Rozmawia i publikuje wywiady między innymi z Françoise Sagan, Grace Kelly, Yves Montand, Eugene Ionesco i innymi sławnymi w owym czasie osobami, które przybywały we Francji. Ta śliczna, mała, niebieskooka blondynka nie znalazła czasu, by się rozejrzeć

za odpowiednim kandydatem na męża, choć dziesiątki młodzieńców się do niej zalecało. Przydarzyło jej się nieślubne dziecko, Emmanuel – obecnie profesor fizyki na Universidad Autónoma de Madrid. Urodził się w Rzymie, o ojcu nikt nigdy się nie dowiedział. Pielęgnowała go wspomniana góralka, no i sama Elena, gdy znajdowała wolne chwile w swym zwariowanym kołowrocie zajęć dziennikarskich.

Elena pracując w środowisku tzw. sfer wyższych, poznała mentalność tej klasy, często dość prymitywnych jej przedstawicieli, żyjących kosztem tych pogardzanych. Nikt w tym czasie nie pisał o ludziach biednych, pokrzywdzonych, sponiewieranych przez życie, a wśród nich najbardziej poniżanych i najbardziej biednych – Indianach. Elena zbliżyła się do nich, żeby poznać ich problemy. Z dziewczyny, której imponowały kontakty ze znanymi ludźmi w kraju, stała się osobą zainteresowaną tymi, których na salonach nazywano „odpadkami społecznymi”. Rodzina z przerażeniem patrzyła, jak jej latorośl swymi odważnymi tekstami przedstawiającymi prostych ludzi w okrutnym systemie społecznym, oddalała się od stylu życia godnego arystokratki. Nie było wyjścia, trzeba było zaakceptować tę nową sytuację określoną przez babkę, że „biedne maleństwo stacza się w otchłań”.

Elena Poniatowska z hiszpańską parą królewską po otrzymaniu nagrody Premio Cervantes.

Wybrała za kandydata na męża dużo starszego od siebie światowej sławy astrofizyka, odkrywcę 12 gwiazd, będącego o krok od Nagrody Nobla, Guillermo Haro. Ale znajomość z nim nie zaczęła się łatwo. Elena poprosiła go o wywiad. Zapytał czy coś wie o astronomii, powiedziała, że nic. Gdy ciągle go nagabywała, by mieć to z głowy, zaproponował, że dostarczy jej odcinki swoich publikacji, niech z nich stworzy rodzaj wywiadu. Tak szybko nie pozwoliła się zbyć. La Poni była nie tylko odważna i szczera do bólu, ale była też niezwykłym uparciuchem. Odrzuciła tę propozycję, nachodziła wciąż astronoma i dopięła swego. Pierwszy wywiad był wprost katastrofalny. Ona chciała dowiedzieć się jak najwięcej o nim, on chciał tylko rozmawiać o najnowszych osiągnięciach astronomii, szczególnie rodzącej się w owych czasach astrofizyki. Trudno było o tym rozmawiać, gdy rozmówczyni nie znała podstawowych pojęć z tej dziedziny wiedzy. Jednak nie zrezygnowała. Zgłosiła się do obserwatorium astronomicznego i tam poduczono ją jak i o czym ma rozmawiać z profesorem. Ta rozmowa wypadła nieco lepiej, no ale do „biorę sobie ciebie za małżonka” była jeszcze długa dziewięcioletnia podróż w czasie. W końcu zostają małżonkami,

astronom adoptuje jej panieńskiego syna, mają jeszcze dwójkę własnych dzieci: Filipa i Paulę. On się wreszcie mógł skupić na tym co najbardziej kochał – obserwacji nieba, a ona jako mężatka z zabezpieczoną przyszłością dla siebie i dzieci mogła rozwijać swój talent pisarski. Było to dobre małżeństwo, bo nie wchodzili sobie w drogę. Podziękowała mu i uhonorowała po jego śmierci w 1988 roku zbeletryzowaną publikacją rozgrywającą się w środowisku naukowców „La piel de cielo" (Naskórek nieba).

Dostrzegała nierówności społeczne, samowolę i pazerność władzy, morderstwa czy uwięzienia tych, którzy odważyli się krytykować kogokolwiek z rządzących krajem i prowincjami, lub upominającymi się o należną im zapłatę za pracę. Dostrzegała okrutne traktowanie Indian. Teraz definitywnie zmieniła zainteresowanie w doborze rozmówców do swoich wywiadów. Będąc już sławną dziennikarką znajduje sposoby dotarcia do ludzi pokrzywdzonych, dopuszczają ją nawet do więzienia (zawdzięcza to wsparciu popularnego i genialnego reżysera Hiszpana, który w Meksyku stworzył najważniejsze swe filmy, Luisa Buñuela). Rozmawiała z kolejarzami uwięzionymi tylko z tego powodu, że odważyli się strajkować, bo nie zapłacono im za pracę, a także ze studentami, których nie dosięgły kule na placu Tlatelolco. Jeden z więźniów napisał sztukę, ona ją wyreżyserowała wewnątrz więzienia, zatrudniając osadzonych tam więźniów jako aktorów. Jest odważna, mimo ciągłych pogróżek dociera do prawdy. Większość jej artykułów, wywiadów, a nawet książek z tego okresu wydrukowano – niekiedy musiała trochę poczekać na zmianę rządu czy prezydenta, by publikacja się ukazała.

Miejsce masakry studentów, plac Tlatelolco.

Radykalizuje się po morderstwie setek ludzi, w większości studentów, w roku 1968. Korzystając z faktu, że za kilka dni miały się zacząć w Meksyku Letnie Igrzyska Olimpijskie, studenci wyszli na ulicę, ogłosili strajk, by mieć szansę przekazać światu to, co się w tym kraju niedobrego dzieje. Rok ten był również i w Meksyku rokiem buntu i demonstracji studenckich. Od Polski różnił się tym, że na ulicach Warszawy i innych miast Polski studentów pałowano, tu do nich strzelano lub zakłuwano

bagnetami na placu demonstracji. Kule trafiały też w przygodnych gapiów czy przechodniów. Nikt nie zna dokładnej liczby ofiar tej akcji, było ich dużo, ponad 500 osób. Miało to miejsce na obrzeżach stolicy, na placu Tlatelolco. Nie był to izolowany sposób uciszania tłumów, robiono to wiele razy w okrutnej historii tego kraju.

Na placu w czasie tego „wyciszania" Elena nie była, ale gdy tylko dowiedziała się o tej tragedii, natychmiast, już następnego dnia od wczesnego rana zaczęła zbierać od świadków zeznania o tym co się stało. Brała potem udział razem ze studentami w późniejszych demonstracjach, mimo że miała 36 lat i była mężatką oraz matką kilkumiesięcznego syna: była bita, więziona, zastraszana. Przed jej domem pojawiały się organizowane i opłacane przez władze miasta tłumy w proteście przeciwko niej – ona wychodziła do nich, by przedstawić swoje racje. Kończyło to się obelgami, przepychaniem, jeden z uczestników takiej hucpy złapał ją za rękę i tak mocno ścisnął jej dłoń, że z pierścionka odpadł diament, którego później nie odszukała.

Piętnaście lat młodszy od niej brat Jan też uczestniczył w ruchu oporu przeciw establishmentowi. Potem zginął w wypadku samochodowym, możliwe, że zaaranżowanym przez przez „stróżów prawa". Powstała książka poświęcona jego pamięci, która musiała przeczekać kilka lat na opublikowanie, do czasów zmiany prezydentów kraju. To „Noc w Tlatelolco", w której Elena Poniatowska pomieściła wspomniane zeznania świadków i obszerny swój komentarz. W ciągu czterech miesięcy zebrała ponad sto zeznań, nie tylko na ulicach i tym placu, ale też od ludzi postrzelonych, przebywających w szpitalach, a także od uwięzionych studentów biorących udział w strajku. Odwiedziła też i bliżej poznała znaną w świecie zachodnim włoską dziennikarkę i pisarkę postrzeloną na placu – Orianę Fallaci, która zasłynęła później z bezpardonowej krytyki Islamu we współczesnej odmianie. Książka przyniosła Elenie sławę, jako dziennikarce broniącej pokrzywdzonych. Nawet uhonorowano ją za to dzieło główną nagrodą literacką Meksyku, której nie przyjęła.

Ten krytycyzm wobec rządzących państwem znaleźć można w innych jej publikacjach, jak na przykład w zbeletryzowanej powieści o uwięzionym przywódcy strajku kolejarzy Demetriu Vallejo „El tren pasa primo" (Pociąg przejeżdża pierwszy) i w cyklu wywiadów z uwięzionymi. Seria reportaży po wielkim trzęsieniu ziemi w 1985 roku, które zabiło około 30 tysięcy mieszkańców, pod zbiorowym tytułem

„Nada, nadie: las voces del temblor” (Nic, nikt: odgłosy trzęsienia ziemi), to mocne oskarżenie władz za brak pomocy ludziom, szczególnie tym w slamsach stolicy i o korupcji oraz robieniu fortuny na tym nieszczęściu przez mafiosów odbudowujących miasto. Pisała o kilku innych mafijnych przekrętach, jak o walce bezdomnych ze spekulanckimi deweloperami, a także o próbie samoobrony uciskanych zgrupowanej w partyzantce miejskiej. O przepełnionych więzieniach pisała w reportażach pod zbiorowym tytułem „Fuerte es el silencio” (Potężna jest cisza).

Książka „Do sępów pójdę” (Tytuł oryginalny dość nietypowy „Hasta no verte Jesus mio”), uważana jest przez wielu za najlepszą pozycję w jej twórczości. To spisane autentyczne, choć zbeletryzowane, wspomnienia Josefiny Borquez, analfabetki, meksykańskiej pół-Indianki, która w powieści nosi nadane jej przez pisarkę imię Jesusa (żeńska odmiana imienia Jezus) – kobiety, która brała czynny udział w rewolucji meksykańskiej po stronie powstańców, osoby o niezwykłym darze obserwacji i fenomenalnej pamięci. Przewijają się w niej znane postacie generałów okrutników, koniokradów, autentycznych rewolucjonistów z czasów rewolucji z lat 1910-29. Dużo jest w niej stron o losach kobiet z ludu i pogardliwym traktowaniu Indian, to prawdziwa ludowa epopeja o tych okrutnych czasach, a autorka nie musiała zbytnio się napracować by cokolwiek upiększyć i bez tego opowieść tak brzmi jakby była opowieścią z tysiąca i jednej nocy, okrutnych nocy. Faktycznie to pierwsza w Meksyku książka, szczera do bólu, o losie tych ludzi.

Obraz rewolucji meksykańskiej 1910-29.

Samo poznanie Josefiny Borquez przez Elenę i wielomiesięczne spisywania jej opowieści jest prawie tak ciekawe jak i sama opowieść, więc parę zdań na ten temat. Przemieszczając się przez dzielnicę biedoty, jadąc poobijanym starym Volkswagenem na kolejne spotkanie z więzionymi kolejarzami, ubrana schludnie i elegancko zgodnie z życzeniem babci w szarym kostiumie, rozjaśnionym sznurem pereł, w białych rękawiczkach z guzikami, usłyszała krzyki kobiety. Jako zawodowa dziennikarka

musiała się dowiedzieć co się dzieje. Odnalazła ją na dachu domu czynszowego. Nic się nie działo, po prostu Jezusa wyładowywała w ten sposób swoje frustracje. Potraktowała Elenę jak nieproszonego gościa. Potem stopniowo otwierała się przed nią. Opowiedziała jej o przepełnionych toaletach bez bieżącej wody, o miłości, rozstaniach, zdradach, beznadziejności szarych dni – a oczy magnatki na problemy życia biednych coraz szerzej się otwierały. Gdy Elena powiedziała w czasie tych opowieści, że są i dobrzy ludzie na świecie, sfrustrowana Jezusa przywołała ją do szeregu: „Przestań pieprzyć! Nikt nie jest dobry. Tylko takie głupie dupy jak ty mogą tak myśleć!"

Poniatowska spędza z nią całe dni tylko rozmawiając i rejestrując na taśmie magnetofonowej jej wypowiedzi. Przejmuje też pracę Józefiny w czasie tych niekończących się opowieści: „czyściłam benzyną sterty zabrudzonych kombinezonów roboczych. Karmiłam jej cztery kury, psa i kota". Józefina była praczką w budynku – opierała biedotę w nim mieszkającą.

Józefina w czasie rewolucji była kobietą jednego z wodzów rewolucji. Typ okrutny, prymitywny. Bił ją, gwałcił w towarzystwie swych kumpli, dał jej broń do ręki i kazał walczyć w potyczkach z siłami rządowymi. Modliła się, by go wreszcie trafiła kula i wymodliła. Jego trafiła kula, ona przeżyła. Przez długie lata chwytała się każdej pracy, by nie zemrzeć z głodu, zanim znalazła tę pracę w budynku, w którym zamieszkała. Helena dodała do tych opowieści o Józefinie swoje własne spostrzeżenia o ludziach z marginesu, których ilość była dziesiątki razy większa od tych, którzy coś posiadali lub rządzili w państwie. Powstało arcydzieło. Dostrzegł to wybitny krytyk literacki Emilio A. Gomez. Podkreślił to, na czym Elena szczególnie skupiała swoją uwagę w książce, że prominenci niewiele wiedzą o tych „wyrzutkach społeczeństwa", że poza bogatym śródmieściem „parę kilometrów dalej Meksyk staje się brudny, niedożywiony, schorowany". Pisarska nie zapomniała podziękować analfabetce za wprowadzenie jej w świat, którego jeszcze nie znała:

> *Jezusa wzięła mnie za rękę w świat prawdziwej biedy, w którym wodę trzeba było nieść ostrożnie, by nie uronić kropli, gdzie ludzie kradną elektryczność, gdzie kury znoszą jaja bez skorup, bo nigdy nie widzą słońca.*

Druga część losów Eleny Poniatowskiej ukaże się w poniedziałek, 19 marca 2018 r.

Zobacz też:

https://pl.wikipedia.org/wiki/Poniatowscy_herbu_Cio%C5%82ek